Nr. 12. Lwów, dnia 15. grudnia 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

URATOWANI.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Niedola na dołach. — Byle wyżej. — Świstak w śnie zimowym. — Dawne o nim przesądy. — Bobak. — Tępienie świstaków. — Ustawy. — Przebudzenie.)

Dobrze to się działo za dawnych czasów. Na Lykejskiej górze, w pięknej Arkadyi, ojciec bogów i ludzi, od czasu do czasu, widząc, że posucha w żyznych dolinach kłosy nagina, na poczekaniu zbierał chmury, kazał dmuchnąć Eolowi w żądanym kierunku, i wnet skrapiał deszcz spragnioną ziemię. Cieszył się swem dobrem dziełem na swych szczytach gromowładny i upajał się widokiem żyznej niegdyś krainy półwyspu peloponeskiego, skąd wzbijały się w górę dymy ofiar wdzięczności całego plemienia helleńskiego.

Nie tak po arkadyjsku dzieje się za naszych czasów. Nie pocieszyłbyś się Kronido, gdybyś spojrzał ze szczytów Karpat na te doły sarmackie! Lepiej więc, żeś skonał na twym klasycznym gruncie, bo nie do twarzy było by ci z kwaśną miną na widok ludzkiej nędzy i niedoli.

Od kilku lat figlarna czereda jakichś psotliwych, anarchicznych Eolątek spędza z całego świata do nas chmury — leje przed Medardem, leje po Medardzie, leje na Medarda — starsza szkoła meteorologów z Bożej łaski traci watek kombinacyj, pod widnokręgiem chmurnym łażą zniechęceni ludziska, a tu, niby w pulsometrze szklanym, odpary idą w górę, to znów spadają i t. d. — no, bo skąd by znów się mogło wziąść tyle wody. I tak trwa bez końca to wodne *perpetuum mobile* nad biedną krainą, i mijają całe zastępy kalendarzowych majstrów, a niesposób naprawić maszyneryi niebieskich hydrantów.

Jako długoletni, bardzo mizerny rolnik, ale pełen dumy pasterz na brzegach dniestrowych, w miejscu, gdzie oprócz tej głównej arteryi jeszcze coś około siedm rzek, rzeczek, potoków i poników sprowadzają swe błogosławieństwa namułowe na powierzchnię katastralną, nie mającą w istocie od dłuższego czasu najmniejszego znaczenia dla ekonomii krajowej, nie chcę tu podnosić tak już banalnego jęku skargi i żalu ziemianina. Wszak już i tak, jak bajecznemu pasterzowi nikt nam nie wierzy, ale może zrozumie, że jako posiadającemu łąki i pastwiska, leżące mniej więcej o dwa metry poniżej zwykłego poziomu zalewu, zmięknąć mi musiała nieco rura, gdyż nieprzepuszczalny siwy ił w podglebiu

pól ornych nie usposobił mnie w ostatnich latach do zachwytu Cicerona: *nihil est agricultura melius, nihil dulcius*... — Również i moi ziomkowie po obu brzegach dniestrowych, których mieszkania leżą nieco wyżej, bo tylko $1^1/_2$ metra poniżej linii zalewów, zamieniwszy wzniosły zawód rolnika-hodowcy na palafitową idyllę łowiecko-rybacką, nie śpiewają pochwalnych hymnów dla Cerery...

Ale cóż robić? Człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może, a tem bardziej do tyle pierwotnym instynktom odpowiadającej sielanki łowiecko-rybackiej. Wszak setki pokoleń wykołysały się ongi w swych palowych nawodnych budach — a jednak *tempi passati* — piękne dnie minęły, i trudno dziś długo wytrzymać obywatelowi kulturnego ustroju wśród palafitowych stosunków i dąży mimowoli do zmiany sytuacyj — byle wyżej, byle wydostać się z tych dołów, gdzie mu już woda za kołnierz zacieka...

Gdy nadeszła stanowcza chwila rozstania, gdy na pożegnanie rzuciłem jeszcze raz okiem na bezbrzeżne obszary zamulonych łąk i pastwisk, na te wody i błota, przepełnione teraz najrozmaitszą ptasią gawiedzią, która w swych wędrówkach obsiada te gościnne stoły — począłem jak pogorzelec szylerowski liczyć głowy tych ukochanych latawców i w końcu doliczyć się ich nie mogłem, bo ciągle nowe nadlatywały stada, bo dniem i nocą szumiały w powietrzu ich loty i ciągle zmieniała się wspaniała scenerya. Ale wszystko to odrywało wzrok mój i umysł od cierpkiej rzeczywistości i karmiło nadzieją, że z wiosną, gdy powrócą mili goście, wróci też z niemi lepsza przyszłość.

A gdym tak liczył ptasie głowy i wsłuchiwał się w szum ptasich lotów, myśl moja uciekała za niemi wysoko, wyżej niż potrzeba. Niby przepiórka, która mogąc śmiało przezimować na łagodnych brzegach południowej Europy, nieudolnem skrzydłem przelatuje morze i dopiero wśród piaszczystych pustyń afrykańskich czuje się bezpieczną przed zimnym podmuchem Boreasza — tak i myśl moja, mogąc znaleść spoczynek bodaj na jakimś małym płatku płaskowyża podolskiego, zatrzymała się dopiero powyż granicy regli tatrzańskich i błądzi wśród skalistych turni... Tam nie ma nadziei — nie ma zawodów — tam nie szarpią serca zmienne uczucia, bo z każdego głazu, z każdej szczeliny wieje potężny duch Eonów i głuszy swym majestatem wszelkie lat minionych wspomnienia...

Zimno tam i pusto teraz, nagie, szare, poszarpane w tysiącznych fantastycznych kształtach sterczą turnie, wicher zmiótł śniegi w siodła załomów, skamieniały lustra wód — przed śmiercią głodową umknął głęboko w doły świat drobnych ptasząt, zgubił się w reglach ślad kozicy — tylko nornik *(Hypudaeus)* gorączkowo pracuje w głębokim śniegu, kręcone w rozmaity sposób tunele przebiega, wyjrzy na chwilę na świat — i znów się kopie, jak gdyby bezustanną pracą i ruchem chciał podtrzymać proces życiowy.

Na szarych zaś wierchach, na białym, czerwonemi plamami śnieżnej algi *(Sphaerella nivalis)*, upstrzonym śniegu, widnieje znów kilka czarnych punktów, a rażący kontrast ubarwienia uwydatnia dokładnie kształty wrończyka *(Pyrrhocorax alpinus)* niby zadając kłam wszelkim teoryom o istnieniu jakiejś „mimikry“ w naturze.

Ale pocóż przyroda w tem podniebnem państwie chronić ma w ten sposób swe twory? Tu z każdej szczeliny grzmi głos geniusza tej krainy, nie wdzierać się tu więc śmiałkowi w te wolne, niczem w państwo człowieka nie wkraczające rządy natury, gdzie odwieczną harmonię utrzymuje berło niepojętej, częstokroć okrutnej prawidłowości.

Siedząc spokojnie, spoglądają ptaki w ponure przepaście, inne, krocząc po odkrytym dywanie mchów i porostów, biją żółtym swym dziobem sposobem wron w ziemię: wszak i tam ukryte są jaja i liszki rozmaitych owadów, i tam znaleść można źródła podtrzymania życia w tem „roztrzęsionem państwie Gigantów.“

Lecz niedługo trwa ta podniebna idylla. Niemasz i tutaj prawego szczęścia i tu rozbrzmiewa pod strasznem hasłem odwieczna walka organizmów, *mors tua vita mea*, złowrogo brzmi po wierchach, i z szumem skrzydeł demona spada z błękitu mistrz śmierci — potężny orzeł....

Zadawalniać się musi teraz byle czem król sfer powietrznych, gdy jakiś nieprzeparty grymas każe mu odbywać łowy wśród nagich turni i halnych śniegów. Najsmaczniejszy jego w porze letniej kąsek — świstak — zatarasowawszy się ziemią i kamieniami w swej norze około 4 stopy pod ziemią, spi bezpiecznie.

Sen zimowy tego tatrzańskiego gryzonia nie da się porównać ze stanem, w jaki popadają w tej porze inne zwierzęta n. p. borsuk, lub niedźwiedź. U świstaka jest to stan niemal zupełnego zamarcia, który chyba tylko tem pozornie różni się od śmierci, że rozkład ciała nie następuje. Można śpiącemu zwierzęciu nad głową wystrzelić, a przecież się nie zbudzi. Jestto stan, w którym zwierz, usunąwszy się zupełnie z oczu wszelkich drapieżców świata zwierzęcego, oddany jest całkiem na łaskę i niełaskę człowieka, tem bardziej, że wyszukanie nor zimowych nie przedstawia wielkich trudności. Poznać można miejsca te po natrzęsionem na ziemi sianie brunatnego koloru; nieomylna ta wskazówka, którą dobrze znają górale, prowadzi ich w podziemne państwo ubezwładnionego letargiem zwierza. Następuje więc teraz akt barbarzyńskiego zniszczenia całego gniazda, gdyż w każdej norze znajduje się od 5—15 sztuk rozmaitego wieku zwierząt, z których sztuki wyrosłe aż 8 klgr. w stanie jesiennej „skromności“ ważyć mogą.

Okoliczność, że po opuszczeniu nór zimowych pozostają tam wielkie zapasy siana, z drugiej zaś strony bezprzykładny sen zimowy świstaka, wśród którego, że się tak wyrażę, ledwo się dusza kołacze, każą się domyślać, że zwierz owe zapasy li tylko dla wygody i ciepła gromadzi, i że całą długą porę snu bez pokarmu przebywa. Bliżej już podziśdzień zbadany stan fizyologiczny podczas snu zimowego, nie czyni koniecznem przypuszczenia, jakoby zwierz, nawet w bardzo długo trwającej porze, w której z nory nie wyłazi, potrzebował korzystać z zapasów siana, tak jak to mniemali przyrodnicy dawniejsi.

Ale zaglądnijmy bliżej do wnętrza nory, przypatrzmy się zmianom organicznym, jakie badanie wykazało, a nabierzemy niezbitego przekonania, że natura prostemi środkami chroni od zagłady świstaka w jego śnieżnej, pustynnej ojczyźnie.

Mroźny wiatr dysze nad skałą i śniegiem, niby dyamentów roje iskrzą się w czystem powietrzu kryształki zmrożonej pary — a tam pod ziemią w zatarasowanej norze ciepło 10° C. i cała rodzina świstacza leży obok siebie bez ruchu na miękkiem posłaniu siana — oczy zamknięte — źrenica powiększona, ciepłota ciała co najwyżej 11° C., ruchów respiracyjnych nie dostrzeże — ale zwierzę oddycha. Oddychać musi, bo żyje — 15 razy na godzinę następuje wymiana gazów w płucach, serce uderza 2 razy na minutę, pod grubym pokładem tłuszczu tętni słabo życie świstaka. Żołądek ściągnięty, ściany przewodów pokarmowych przylegają do siebie, wątroba do niepoznania zmalała, skurczyła

się, a tylko mózg, śledziona i nerki widocznych zmian nie okazują. Ciało popada w zupełną apatyę nerwową, tak, że po ucięciu głowy śpiącemu zwierzęciu, serce, niby jakiś samoistny organ przez trzy godziny uderza, z początku 16—17 razy na minutę, wreszcie powoli uderzenia stają się rzadsze, a ucięta głowa jeszcze po pół godzinie okazuje ślady nerwowej wrażliwości. We krwi spostrzegamy ogromne zmiany, ilość czerwonych ciałek krwi spada niżej połowy, odtwórczość materyi spoczywa też zupełnie, tak dalece, że miejsca ogolone na głowie i nogach w ciągu 5-miesięcznego snu pozostają nagie — pazury i wąsy ucięte wcale się nie odnawiają.

Że zwierzę w takim stanie pozostające wcale pokarmu nie potrzebuje, i co więcej, wcale by go znieść nie mogło, to nie podlega żadnej wątpliwości. Gdzie ustają wszelkie wydzieliny, gdzie ciepłota ciała spada do temperatury otoczenia, tam trawienie i assymilacya są niemożebne, a zwierzę wegetuje tylko pochłaniając nagromadzone w ciele zapasy tłuszczu. Przebudzenie się z takiego snu nie w porę, musiałoby stać się zabójczem, gdyby zabrakło następnie warunków do trwałego podtrzymania rozbudzonych funkcyj żywotnych.

W stanie trzeźwym wydziela świstak na dobę na 1 klg. żywej wagi ciała około 7·2 gramów węgla. Ponieważ oddechanie w stanie trzeźwym odbywa się 50 razy na minutę, czyli 3.000 razy na godzinę, w stanie zaś snu tylko 15 razy na godzinę, zużycie węgla, dostarczonego kosztem rozkładu tłuszczu ciała, wynosić będzie przeto w śnie zimowym na dobę i na 1 klgr. wagi ciała $3000 : 15 = 200$ czyli $1/200$ zużycia w stanie trzeźwym, czyli $7·2 : 200 = 0·036$ gram. węgla, a w przypuszczalnym czasie 210-dniowym snu zimowego $0·036 \times 210 = 7·56$ gram. węgla, które odpowiadają $\pm$ 11 gram. tłuszczu. Zwierzę o wadze 10 klgr. zużyłoby przeto w ciągu całego snu zimowego około 110 gram. tłuszczu, według tego pobieżnego teoretycznego rachunku, w którym opuściłem nieznaczne, bo tylko $1/100$ wynoszące zużycie węgla przez oddech skórny.

Nie zawsze jednak rytm oddechu w śnie zimowym jest tak powolnym, niemniej i temperatura ciała nie tak niską, jak to przyjąłem w przykładzie, wziętym z praktyki; stąd pochodzi, że zużycie może być i 10 razy większem, a zwierzę oddechając 150 razy w godzinie, jest jeszcze zawsze pogrążone w śnie letargicznym, zużycie zaś tłuszczu w czasie wspomnianym wyniesie 1.100 gram., t. j. ilość, której ubytek nawet bardzo skromnego świstaka w stan najwyższego wychudzenia sprowadza.

Różne stopnie snu zimowego, zależne od stosunków otoczenia, jakoteż od indywidualności zwierzęcia, są powodem niejednakowych objawów, jakie na zwierzętach w porze wiosennego przebudzenia się spotykamy. Podczas gdy jedne wychodzą z nor w stanie dostatecznej zasobności ciała, inne, niby szkielety powleczone skórą, ledwo poruszać się mogą.

Dopóki nie został zbadany stan fizyologiczny świstaka w śnie zimowym, była powszechna wiara, że zwierz gromadzi zapasy siana w celu odżywiania się w chwilach przebudzenia w ciągu zimy, co się zaś tyczy sposobu w jaki tak wielkie zapasy siana dostawać się miały do nor, to panowały w tym względzie najpotworniejsze wyobrażenia, a utwierdzały je luźne spostrzeżenia. Oto świstak, wskutek częstego przesuwania się przez ciasne otwory nor, w które wpadał przy najmniejszem zaniepokojeniu, psuł na sobie sukienkę, a osobliwie na grzbiecie włos był wytarty.

Eureka! — zawołał tedy jakiś średniowieczny przyrodnik, a za nim powtarzały wieki pocieszną bajeczkę, że świstak kładzie się na grzbiecie, inne świstaki zaś znoszą na niego niby na wóz tyle siana, ile na piersiach i brzuchu utrzymać się może; leżący nogami utrzymuje ładunek w równowadze, i tak obładowanego ciągną inne zwierzęta ku norze!

Świstak był już znany ludom starożytnym, a mianowicie Rzymianom, którzy go nazywali *Mus alpinus*, w X. zaś wieku pieczyste świstaka, zwanego podówczas *Cassus alpinus*, stanowiło ulubiony przysmak w klasztorach alpejskich. W wiekach następnych niepokaźne to zwierzątko stanowiło najzwyklejszą zdobycz górali, którzy bądź to użytkowali je dla siebie, bądź uszczęśliwiali mięsem i tłuszczem jego cierpiącą ludzkość, która, jak to i dziś się dzieje, przypisywała wszelkim śmiertelnym resztkom świstaka szczególną własność leczniczą.

Minęło kilka wieków, zmieniły się niby to czasy, ale uprzedzenia co do skuteczności bodaj tłuszczu świstakowego pozostały, i gdy porwą się już ostatnie nici, gdy nawet żaden cudotwórca już poradzić nie może, apeluje słaby umysł do misternych arkanów natury. Tak n. p. przed dwoma laty, odwiedzając urocze góry koło Berchtesgaden, znalazłem na dobrze wydeptanej ścieżce list następujący: *Lieber Herr Förster! Schickens mir gütigst 5 klg. Murmelthierschmalz, welches Sie mir längst versprachen.*

N. N. Apotheker in . . .

W czasach, gdy o bardzo zwykłych zwierzętach najpotworniejsze miano wyobrażenia, gdy przesądy i jakaś intuicya wytwarzały opisy przyrody, istniały względnie bardzo dobre opisy świstaka. Przyczyny tego należy szukać w okoliczności, że świstak, dający się przysposobić do rozmaitych sztuczek, bawiących gawiedź, jako gdzieindziej nieznany monopol alpejskiej przyrody, obnoszonym był przez biednych górali, i w ten sposób spopularyzował się w całej Europie, podobnie jak małpa, niedźwiedź, wielbłąd i t. p. W XVI. wieku utrzymywano już świstaki po domach, a mianowicie Münster, otrzymawszy dwa egzemplarze, samca i samicę, chował je przez dłuższy czas i na gruncie bezpośredniej obserwacyi pozostawił bardzo dobry opis tego zwierza.

Mimo jednak dokładnego poznania pod względem powierzchowności, mimo, że wspomniany autor obserwował dokładnie: *masculum et foemellam* w ich wzajemnem pożyciu, panowały pod względem pochodzenia świstaka przez długie następne wieki najopaczniejsze wyobrażenia co do jego sposobu życia i co do jego pochodzenia. Myśli takie krążyły po głowach przyrodników aż do XVIII. wieku — ludziom tym wcale nieznaną była przyroda stref, w których się świstak znachodził, a togi i sutanny nie chciały się zniżyć i sięgnąć po informacyę do tych górali, którzy mieli sposobność dopatrzyć się prawdy.

W pierwszej połowie XVII. wieku wielki uczony, matematyk, filozof, lingwista, istny omnibus swego czasu — jezuita, Atanazy Kircher, postawił dogmat wyzuwający biednego świstaka z praw rodowych. „Jestto bastard z borsuka i wiewiórki“, dogmatyzował zacny pater, patrząc na fizyognomię świstaka, czem też oburzył do żywego Altmanna, który świętym gniewem uniesiony, wystąpił energicznie przeciw tak niegodziwym przesądom i uznał świstaka za „młodego borsuka“, który, a są to własne słowa jego: „14 dni przed snem zimowym jedynie tylko wodę pije, wypłukując sobie w ten sposób kiszki, aby nie zgniły

podczas długiego snu zimowego". U schyłku zeszłego wieku widzimisię Kirchera już by wiary nie znalazło, ale echa dawnych wierzeń odbijają się jeszcze w głowach nawet wielkich naturalistów. Tak n. p. słynny Blumenbach, wiedząc już dokładnie, że świstak rodzi się z matki i ojca świstaków, wypowiada znów przypuszczenie, że gdyby zając sparował się z wiewiórką, niewątpliwie urodziłby się świstak. Lecz dotąd ani jedna ani druga strona nie dały się uprosić do sztucznej fabrykacyi świstaka, a świstaki, jeżeli je człowiek do reszty nie wytępi, rodzić się będą nadal z rodziców swego rodu i to po 3—4 sztuk po 6-tygodniowej brzemienności, w pasku ziemi pomiędzy szczytami turni a granicą lasów, która w naszych Tatrach rozciąga się 1450 m. p. n. p. m., gdzie rozpoczyna się kraina kosodrzewów i jałowców nagich, ścielących się po ziemi, i sięga 1770 m. i dalej, gdzie ciągną się aż po 2085 m. hale o zielonych kobiercach. a wyżej rozlega się na głazach państwo mchów i porostów aż po wierchy.

Zazwyczaj zakłada świstak swe zimowe nory w niższych i bardziej przystępnych pasmach, już wśród karłowatej wegetacyi kosodrzewu i jałowcu, jednak kto widział w Alpach nory zimowe tych zwierząt również i na 3000 m. po nad poziomem morza, ten uwierzy, że granicę rozsiedlenia tego zwierza ku górze nie stawia tyle gęstość, ile temperatura otaczającego powietrza. Przesypiają świstaki 10 miesięcy w obłokiem skrytej ojczyźnie w Alée blanche na Montblanku — a nory ich częstokroć znachodzą się na skalistych wyspach wśród nieprzejrzanych pustyń lodowych. (Blumenbach pag. 88. t. I.)

Sądząc o rzeczy według opisów naszych i obcych przyrodników, zdawaćby się mogło, że świstak, zwany także mylnie „bobakiem". szerokie w naszych krajach miał rozsiedlenie, tymczasem obałamucenie powstało w skutek zidentyfikowania dwóch odmiennych gatunków zwierząt, a mianowicie po dziś dzień dokładnie już odróżnionych: świstaka czyli świszcza *Arctomys marmota* z bobakiem *Arctomys bobac*, zwierząt, które należąc do jednej familii gryzoniów i nieco zbliżone powierzchownością, różnią się ogromnie wielkością, jakoteż sposobem życia. Obłęd ten trwał aż do ostatnich czasów, a nawet znakomity nasz przyrodnik K. Pietruski, mówi w swej historyi naturalnej o „świszczu-bobaku" zamieszkującym Galicyę, Polskę, Ukrainę, Azyę północną aż po Kamczatkę. „Lubi on góry suche tejże, lub płaszczyzny pagórkowate i stepy", powiada tenże autor. W historyi naturalnej ziemiańskiej W. Jastrzębowski jeszcze w r. 1876 nazywa świszcza także bobakiem, a w prelekcyach „Rzut oka na północne stoki Karpat" z r. 1851 str. 66. wspomina W. Pol o kozach dzikich i skalnych bobakach w Tatrach. Mimo to różnica pomiędzy dwoma temi odmianami dawno już była ustaloną, a w dziełach Nowickiego dwie te odmiany dokładnie są odróżnione.

Jako pamiątka stepowego niegdyś charakteru naszego klimatu, pozostał w późne czasy historyczne bobak, osobliwie na wschodnim Podolu i na Ukrainie. Zwierz ten 46 cm. długi, z czego 9 cm. na ogon odpada, miłośnik cichego stepu, posuwał się coraz dalej na wschód, nie mogąc znieść szczęku lemiesza, i znajduje się obecnie jako mieszkaniec środkowo-azyatyckich płaskowyży aż po Kamczatkę, sięgając swemi siedliskami wzniesień bardzo znacznych. Niezliczone pagórki w stepach Azyi, pochodzące z ziemi z nor wygrzebanej, wskazują na ogromnie gęste rozsiedlenie bobaka, któremu na zachodniej półkuli odpowiada pokrewny gryzoń t. z. piesek preriowy *(Cynomys ludovicianus)*.

Zwierzostan bobaków jest prawdziwem dobrodziejstwem dla chciwych na kawałek mięsa w porze wiosennej nomadów azyatyckich. Tunguz czy Buriata poznał dokładnie przyrodę bobaka, wie, że w dobrej kondycyi budzi się ten zwierz ze snu zimowego, że zatem należy tę chwilę zachwycić, bo wnet po obudzeniu się gody hymenowe stopią zapasy, których długi okres snu zużyć nie zdołał, i nieopłacą się już łowy. Nie bawiąc się w rozkopywanie nor, wyczekuje Azyata wiosny. Gdy nieco cieplejszy wiatr powionie stepem, gdy promienie słońca ogrzeją trochę ziemię, wten zas i bobak zwykł odbywać pierwszą wycieczkę z nory. Zasiadka w tej porze nad norą, to najintratniejsze łowy, gdy tylko główka się ukaże nad ziemią, pada strzał, a myśliwy przy ogniu z wyschłych odchodów bydlęcych rozgrzewa kilka kamieni i pakuje je w miejsce wyrzuconych wnętrzności. Tak nadzianą zdobycz przytracza do siodła i jadąc dalej za nową zdobyczą, po upływie dwóch godzin, ma już gotową, a może i smaczną pieczeń.

Mniej w maści rudy **świstak** jest o wiele większy od bobaka, długość bowiem ciała jego wynosi 62 cm. z czego 11 cm. na ogon odpada. Jest on zwierzęciem wyłącznie do alpejskich stref Europy należącem, jak to zdają się udowadniać ostatnie badania. Tajemnicze życie tego wysokich gór mieszkańca rozjaśnione zostało dopiero w ostatnich czasach, kiedy większą uwagę zwrócono na alpejską przyrodę w ogóle, gdy ułatwiony dostęp do jego siedlisk umożliwił i ludziom nauki ścisłe podpatrywania oryginalnego życia tego zwierza. Niemałą zasługę oddał tu niestrudzony Tschudi, świetny biograf zwierząt alpejskich, któremu zawdzięczamy i ostatnie wiadomości o życiu świstaka, otoczonego do niedawna całą matnią fałszywych podań i zabobonów. Dziś, gdy już zapoznaliśmy się z tym oryginalnym śpiochem krainy alpejskiej, staje się on coraz to rzadszym. Wykopywanie z nor całych rodzin przerzedza go bezustannie, coraz to wyżej posuwają się w góry zwiększone stada owiec, a niepokój pastwiskiem spowodowany, psoty juhasów i nieodłącznych psów, ogromnego dokonują zniszczenia, tembardziej, że kłusownik tatrzański nietylko dla mięsa lub tłuszczu łakomi się na tę zdobycz, ale niszczeniem świstaka usuwa przykrego dla siebie ostrzegacza kozic. Na świst lub rodzaj szczekania (stąd pogardliwie został on nazwany przez górali alpejskich Mistbelleri) świstaka, który dojrzał skradającego się myśliwego pod płoche stadko kozic, świstają i kozice, ostrzegające się nawzajem, i pierzchają w dzikim popłochu. Ostatnia pasya porywa myśliwego, ciężkie trudy zmarniały bezowocnie, a winowajcą był przebrzydły świstak, na którym się zemścić należało. Krom kopania, tego najstraszniejszego środka radykalnego wyniszczenia, również i „oklepce", praktykowane w sposób barbarzyński przez naszych Podhalan zarówno w łowach na kozice, jak i na świstaki, dokazały swego, a zwierz zatracał się coraz to dalej, coraz więcej zacieśniały się ku górze jego siedliska, tak, iż wreszcie zanadto już widoczne ubywanie tego zwierza zmusiło do rozpięcia nad nim ustawowych skrzydeł. Kraj nasz posiada od roku 1869 z dnia 19. lipca bardzo ostrą ustawę, chroniącą bezwzględnie tak świstaka, jako też kozicę, a ustawa ta, będąca pięknym wyrazem pietyzmu dla tej fauny, która dopełniając piękna górskiej przyrody, w niczem nie wkracza szkodliwie w dzieła kulturnej pracy, powstrzymać może grozę ogołocenia naszych wspaniałych Tatrów z tej żywej ozdoby, jaką im świstak i kozica nadają, jednak tylko pod warunkiem, jeżeli całe, rodzinną przyrodę miłujące społeczeństwo, wspierając mądrą

ustawę, stanie jako jeden mąż na straży tych jedynych i na bardzo małym płatku szerokich ziem polskich zacieśnionych grodów natury, jeżeli rozciągnie serdeczną opiekę nad temi tworami przyrody tatrzańskiej, których strzegła dotąd sama natura niby Archeus przeżytych teoryj teozoficznych.

Gwałtowne zmiany i niekorzystne dla fauny dzikiej sprowadził gdzieindziej postęp kultury; położył swe kości lub pierzchnął z pola walki zwierz dziki. Inaczej być powinno w krainie alpejskiej. Z ułatwioną komunikacyą, z przybliżeniem się warstw wysokiej inteligencyi narodu do wnętrza czarów przyrody — wobec wpływów tychże na podniesionych w dobrobycie mieszkańców, powinna wzrastać coraz troskliwsza ochrona, coraz większe uszanowanie dla wszystkiego, co stanowi czar prawdy i piękna ojczystych gór naszych. W oczach filistra nieproduktywna to kraina lodów, skał i lichych porostów, w istocie zaś jest to pośrednie źródło najcenniejszych skarbów narodu. To nasz Yellowstoneparck — tam tryskają zdroje życia, tam czerpie się natchnienie, tam zapał się budzi, tam spocząć może skołatany umysł. Pomimo, że w krajach alpejskich, w Bawaryi, w Szwajcaryi, w Wallis, w Salzburgu, w Tyrolu oddawna już biadają nad widocznem zmniejszaniem się liczby świstaków, podczas gdy kozica, strzeżona dla wielkich łowów, świetne tworzy zwierzostany, tak dalece, że możnym tego świata możliwem jest urządzanie istnych hekatomb z życia tej szlachetnej zwierzyny — ożywia mnie przecież jakaś błoga nadzieja co do przyszłości naszego świstaka. Jeżeli jeden gatunek alpejskiej zwierzyny pod ochroną straży prywatnej dla celów łowieckich w ten sposób się rozmnaża, to o ileż łatwiej odżyć może świstak tatrzański pod ochroną c a ł e g o społeczeństwa?

Nie dla celów łowieckich, bynajmniej — dla harmonii piękna i niezbadanych prawideł natury ratujmy świstaka, a skoro w czasach naszych siwobrody geniusz gór zaspał widocznie w jakiejś głębokiej skał szczelinie, wyręczmy go bodaj na tym małym płatku ojczystej ziemi. Z różową myślą, że tak będzie, nawołuję was tatrzańskie śpiochy: „Uratowani! wstawajcie! — gdy ciepły podmuch muśnie wierchy turni, gdy zbudzi się cały świat, a wysokim łukiem potoczy świetny swój wóz życiodajny Apollo, gdy rozpocznie się wspaniały koncert peanów całej przyrody — wstawajcie!“

Hartowna Tatr przyroda nie zna łagodnych przejść — po długiej zimie raptownie wszystko budzi się do krótkiego ale wesołego życia, cały świat organiczny jak gdyby pragnął skorzystać z krótkiej pory, spieszy, by spełnić najważniejsze zadania życia. Kto się zapóźni, temu biada, wnet się wysączą warunki istnienia, wychłódną zapały — śmierć głodowa, lub co najmniej przyszłość bez celu, grożą gnuśnemu.

Ten gorączkowy pośpiech wkłada na wszystko od razu uroczystą szatę, wszystkie środki, jakiemi natura gdzieindziej w długim sezonie wiosny, lata i jesieni w peryodycznem następstwie zdobi swe twory —ześrodkowuje się tu wytwarzając wspaniałą grę życia barwnego A potęguje wrażenie i siła kontrastów. Wśród odświętnych szat życia sterczą jak trupy zimne, szare masy głazów, wspaniałe kobierce przerywa martwe morze łomów i kamieni, szklą się niby zaczarowane eonami wieków zwierciadła górskich jezior, i gdy cały świat organiczny wznosi się do życia i światła, pokręcone gałązki karłowatych krzewów o ciemnej, starej zieloności tulą się tembardziej do ziemi, im wyżej w górę się rozsiadły, tulą się teraz nie z potrzeby, lecz z przyzwyczajenia do matki ziemi, bo niedawno jeszcze wyższa jej ciepłota w porównaniu do otaczającego powietrza, była przyciągającym magnesem.

Gdzie pracą wieków nagromadziły się niewielkie warstewki ziemi, tam i państwo traw i ziół ściele swe zbite dywany, darnie grzebienicy mienią swój wygląd fałdowaniem liścia, gdy słońce południa dochodzi — wyszczerza spiczaste listki nieużyta a despotyczna szczeć — i kostrzewa drobna spieszy się z wypędem swych szorstkich źdźbeł. A na tem tle istne cuda przedziwnej kolorystyki — sterczą złote kwiatuszki niby w kożuszek przybranego „srebrnika“, kołyszą się dzwonki pierwiosnków, całe kiście różowych pączków lepnicy wyrastają z miękkiej poduszki mchów i łomu kamieni, a tam wyżej w siodle gór, gdzie jeszcze zapóźnione leżą śniegi, kłują się u brzegu roztopu fioletowe dzwonki jaślinka, i niezapominajka obsiadła brzegi strugi. Na stromych ścianach głazów niezliczone mnóstwo mchów i porostów pracują dopomagając żywiołom — i żłobią się dalej skały pod tą mozaiką barw różnorodnych.

Ale nie doszedłbym końca z tą całą epiką, brak słów i określeń na te kształty i barwy, które chwytają za oczy, a ileż tam jeszcze utajonych wdzięków ma trysnąć lada chwila do bytu i życia, ile tam jeszcze wyłoni się powabnych kształtów i barw! A większość roślin posypana niby pyłkiem srebrnym, otulona niby jedwabistym kożuszkiem, których korona, nadobna szarotka, wnet posrebrzy ściany podniebnych grodów. W atmosferze ruch i brzęczy muzyka owadów — legiony much, chrząszczyków uwijają się przysiadając na nęcących kwiatach, waży się kołyszącym lotem przeźroczoskrzydły niepylak, wyszukuje żółte kwiatki paź królowej, z kwiatka na kwiatek przelatują bielinki osetniki i rozmaitych barw bronzowych górówki. Dobrze im tam, wesoło — tysiące świetnych pucharów, przepełnionych słodkim nektarem, zapraszają barwą i wonią do siebie. Ale to dobre i ponętne do czasu, zanim inna myśl nie zajmie owadziej głowy. Wtenczas i motyl zapomina o kwiecistej hali i dostrzeżesz wtedy parkę, wznoszącą się wysoko, w ciągłym ku górze ruchu; w okół siebie kręcą się motyle i tam ponad szczytami najwyższych turni zapalają po setnych wirach powietrznych pochodnię motylowych hymenów. Niby dobrze nam znany skowronek wznosi się w niebo płochacz, a inne słuchają dźwięków zaobłocznej muzyki i poufale spacerują po rumowisku, przeglądając wszystko, co się tam ciekawego dla ptaszka znajdować może. I kopciuszek porzucił doły i po nagie szczyty niesie go świergot i wesele życia, przelatują ponad skały opuszczone samczyki siewarników, ale wkrótce i innych to spotka. W załomach, w skrytych szczelinach, idzie raźno praca około budowy gniazd, wkrótce piękniejsza połowa rodów, spełniając cierpliwie swą rolę, słuchać będzie z upodobaniem natchnionej ich pieśni.

Na pionowych ścianach skał nagich czepia się pazurkiem pomurnik, rozpiął wprawdzie do połowy karminową szeroką wstęgą zdobne skrzydełka, ale nie dotyka niemi skały, porusza niemi tylko w powietrzu, a dzióbem długim pracuje w szczelinach, dybiąc byle za jakim owadem. Czem gładsza skała, tem raźniej ku górze posuwa się ptaszek, jak gdyby chciał prędzej minąć jałowy teren, drapie się coraz to wyżej, a donośnie brzmi powtarzany często jego długi świst. Schował się wreszcie pod liściem karłowatego krzewu, ale znów się wysuwa, aż przepadł w szczelinie skalnej.

Słońce już na dobre przypieka, skryły się w obłoku ponure szczyty Gerlachu, lśnią w słońcu wykwintne kształty Wysokiej, jak tytanów grupy jeżą się w okół setki poszar-

panych turni, patrzą skały Rysów na jezior siatkę, a raduje się Hawrań panoramą swego otoczenia... W bezdenną przepaść ułudy sięgają strome ściany gór w Czarnym stawie — a dziś tu wszystko żyć i ruszać się pragnie, to też lekki wiaterek marszczy szybę wody i trzęsą się ruchem ułudnym martwe głazy.

Dawno już rozmurował świstak otwory swej zimowej nory, dawno już jak spoglądnął zamglonym snu wzrokiem po raz pierwszy na świat otaczający — wylazł wreszcie kilka razy pod wpływem pierwszych cieplejszych promieni, kołysał się niepewnym krokiem w niedalekiem sąsiedztwie nory, przyzwyczajał wzrok do wrażeń świetlanych, zdrzymał się na chwilę w promieniach słońca, uszczknął tu i ówdzie kilka ździebeł zeschłej trawy — ale to wszystko jeszcze niesmaczne, twarde lub wonią rozkładu przesiąknięte. Teraz to co innego, wychylił główkę z nory, spojrzał w około. Warto spać przez całą zimę, aby się takiej doczekać chwili! Na niewielkiej halce na południowym stoku cóż za pyszny stół się zastawia! Kłują się drobniutkie konicze, przetyka je smaczna kostrzewka, wyłażą listki okrzynu — ścielą się babki, a wnet i modry aster wytryśnie do życia. Wysuwa się powoli z nory zwierzątko, wnet wyłażą i inne rozmaitej wielkości, szerokim krokiem, suwając prawie brzuchy po ziemi, podąża niewielka rodzina, przystając co chwila i śledząc wszystkiemi zmysłami całe otoczenie. Mniejsze już się pasą, skubiąc w najpocieszniejszych pozycyach młodziutką roślinność, innych jeszcze trapi jakaś trwoga, co skubną gorączkowo, to znów „stawią chłopca", jak to zwykły czynić zające, prostują ciało jak świeczkę, opuszczają przednie łapki, główka się zwraca na wszystkie strony, a czarne oko spogląda w dal. Ale nie ma obawy — nic podejrzanego ni słychać ni widać, dźwięczy wszędzie pieśń zachwytu i wesela — szemrzą zdala kaskady strumyka, a gdy spadając głuchym łoskotem odezwie się w swych podstawach rozluźniona skała, to trupi ten głos nie rodzi trwogi, to należy zwykłego koncertu tej krainy. Skubią więc z pospiechem świstaki, a gdy twardsza nadarzy się łodyżka, to przytrzymują ją łapką i miażdżą niewyrównanemi swemi ząbkami.

Lecz niedługo trwa chwila niezakłóconego pokoju. Po drugiej stronie zbocza przedziera się chyłkiem pod ochroną pełzających krzewów rudy i brzydki o tej porze nieprzyjaciel — i jemu teraz troska rodzinna marszczy czoło — młody świstaczek, już nieco odżywiony, byłby miłą niespodzianką dla całej rodziny, ale na teraz... kwaśne winogrona! Rozlega się świst nosowy, to hasło: „ratuj się, jak kto może!" — i wnet wszystko schowane pod ziemią, przepadło w norach, wsunąwszy się małemi otworami w te doraźne skrytki. Patrząc na te otwory nikt by nie sądził, że dosyć duże zwierzę potrafi się w nie wcisnąć, gdyż tam, gdzie pięść się wlezie, wsuwa się gruby świstak, a zawdzięcza to szczególnej, nadzwyczajnej cnocie, elastyczności swego szkieletu.

* * *

Schowały się świstaki — i urwał się wątek mojej opowieści. Wraca myśl znów na doły i cofa się do kalendarzowej rzeczywistości, którą tak daleko wyprzedziła. Ale jakoś zadowolonym się czuję, sądząc, że dokonałem wielkiej sztuki, gdyż podróżowałem, łaskawy czytelniku, wspinając się wysoko i ubiegając czas — podróżowałem siedząc w domu, wśród pustych stodół i wśród ryku głodnego bydła. Piękna to i pożyteczna rzecz podróżować, to też uprawiałem ongi, ach, i jak jeszcze, ten piękny sport, ale na dziś piękniejszą i pożyteczniejszą jest rzeczą siedzieć w domu, trzymając zębami i pazurami dolę rolnika, zagrożoną wylewem, nieurodzajem i nieszczęsnym stanem ekonomicznym, dolę, którą nie pietyzm obcych, nie tyrady gołosłowne, a jedynie tylko natchniona praca około tej ukochanej spuścizny polepszyć są w stanie.

Smutno teraz na naszych dołach, uleciała daleko na południe wesoła gwara gromad przelotnych, cofnęły się już dawno wylewu wody, a tylko w swych skutkach wyziera zewsząd zmora nędzy i przygnębienia całej natury po chwilowym rządzie jednej rozpanoszałej, zimnej potęgi. Ale bezustanne odpary ogromnych wód dozwoliły utrzymać się żołędzi w przybrzeżnej starej dąbrowie — opadł już owoc i zaświtała wśród całego morza nędzy i niedoli jedna wyspa złotego wieku Hezioda. Buchtuje tam teraz potężna trzoda dzików, widziałem ich szeroko stawiane tropy w błocie — wszystko to sadliste — warto choćby dla nich zimę przesiedzieć na naddniestrzańskich brzegach. Skrócą czas powabne dziczych łowów sukcesy i zawody, a kiedyś i nam zabłyśnie powabna wiosna, korzystne lato nagrodzi klęski i straty, a dobry duch i na nas zawoła: „Uratowani — powstańcie!"

NA JELENIA.

„Daj kurze grzędę — ona mówi: wyżej siędę!" powiada nasze przysłowie, a zastosowanie praktyczne tego przysłowia nieraz spotykałem w mojej karyerze myśliwskiej. Zabiłem w życiu mojem kilka jeleni, zaczynając naturalnie od parkowych, zabiłem parę dzikich na Szlązku, ale owo kurze „wyżej siędę" ujawniało się dla mnie nieprzepartą żądzą zabicia naszego górskiego, karpackiego jelenia. Nie brakło mi wprawdzie na sposobności, dzięki bowiem niezrównanej uprzejmości barona Poppera, który od wielu lat dał mi *carte blanche* na polowanie w lasach swoich w Wełdzirzu, byłbym mógł od dawna to marzenie moje w rzeczywistość wprowadzić, ale zawsze coś mi stanęło na przeszkodzie, co najlepsze chęci w niwecz obracało. Dodam jeszcze do tego wszystkiego wypadek, który miałem polując na głuszce, a przy którym skręciłem sobie nogę w kolanie i przez długi czas myślałem, że już w ogóle trzeba będzie dać za wygranę z wszelkiem polowaniem na seryo, a ograniczyć się na roli pseudo-myśliwego, którego wózkiem lub saniami podwożą na stanowisko i byłem prawie pewny, że nigdy nie dojdę do strzału do górskiego jelenia.

Wprawdzie co roku jeżdżąc na tok głuszców do Wełdzirza, zaczynając od pełnomocnika barona Poppera a kończąc na nieodstępnym towarzyszu moich górskich ekspedycyj, leśnym Schmelcerze, wszyscy mnie pytali: „kiedyż Pan na-

reszcie przyjedzie do nas na rykowisko jeleni?“ Ale jakoś się nie składało, i po co prawdę taić — po prostu bałem się, czy z chorą dotychczas nogą będę w stanie zwalczyć trudności, połączone z tego rodzaju ekspedycyą.

Polowanie na głuszce podczas toku w naszych górach nie należy wprawdzie do łatwiejszych i trzeba się dobrze obrachować ze zdrowiem i siłami, ale w epoce, w której się odbywa, od połowy góry prawie wszędzie jeszcze jest śnieg, po którym, chociaż zapadając się od czasu do czasu, można jednak przejść po wierzchu i to niezmiernie ułatwia przejście przez złomy i wywroty. W jesieni zaś, podczas rykowiska, przedzierać się po prostu trzeba pomiędzy najrozmaitsze chwasty, maliny i ożyny, dosięgające prawie dwumetrowej wysokości, a każdy przyzna, że podchodzenie ryczącego jelenia w tych warunkach, gdzie oprócz materyalnych trudności, ciągle trzeba mieć uwagę skierowaną na to, żeby jakaś gałązka pod nogą nie chrupnęła, głównie zaś, żeby podchodzić z dobrym wiatrem — wszystko to razem wzięte redukuje szanse myśliwego ad minimum.

Te i tym podobne rezonowania robiłem sobie nieraz, i doszedłem nareszcie do tego uspokojenia nerwów myśliwskich, że powiedziałem sobie: nie dla mnie tego rodzaju wyprawa, bo jej nie podołam i tylko się skompromituję przed sobą i drugimi. Lecz małe fakciki nieraz są przyczyną wielkich i ważnych wydarzeń, w tym jednak razie wielkiej doniosłości fakt sprowadził bardzo mały rezultat, a tym faktem była Wystawa nasza powszechna, która sprawiła, że zabiłem górskiego jelenia. Sądzę, że organizatorowie Wystawy bynajmniej na tego rodzaju wynik nie reflektowali, ale niemniej dla mnie pozostaje niezbitym faktem, że Wystawa była tem ostatecznem dodaniem ostrogi, które mnie we wrześniu b. r. w lasy Wełdzirskie popchnęło.

Miałem sobie powierzonem wraz z wielu innymi ułożenie i udekorowanie pawilonu łowieckiego, może więc sobie łatwo każdy myśliwy wyobrazić, jakie wrażenie na mnie zrobiły nagromadzone masami wieńce jeleni górskich, tak w naszym powilonie jakoteż u Poppera. Widok prawie codzienny tych pysznych trofeów, stykanie się częste z ludźmi, którzy bądź sami owe jelenie strzelali, bądź też rozpowiadali, jak i gdzie ubite zostały - zrobiły stanowczy przewrot w pięknych moich postanowieniach nie narażania się na trudy i znoje ekspedycyi górskiej. I podczas tego wszystkiego przypomniałem sobie żywo naszego niezrównanego Żółkowskiego w sztuce „Majster i czeladnik“, w roli szewca Szaruckiego, kiedy tenże, złożywszy najsolenniejszą przysięgę, że wódki w życiu się nie dotknie, raptem przebudziwszy się natyka się na otwartą flaszkę kminkówki. Walczy ze sobą dobrą chwilę, następnie porywa za flaszkę i solennie się urzyna. Nie chcę się porównywać z tak słynnym aktorem, ale przypuszczam, że przyglądając się z coraz to większą pożądliwością rogom jelenim, musiałem mieć minę do niego podobną wówczas, kiedy nie mogąc już wytrzymać, woła: „jak Boga kocham, wszakże to Doppeltkümmel!“ Otóż i ja już dłużej wytrzymać nie mogłem i powiedziałem sobie: co będzie to będzie, ale przecież spróbować muszę.

Gdzieś tam podobno stoi napisane, że człowiekowi samemu źle żyć na świecie, i jeżeli aksiomat ten tak szerokie znajduje zastosowanie w życiu ogólnem, to przekonałem się uprawiając kunszt myśliwski prawie od lat dziecinnych, że egoizm w myśliwstwie mało co wart. Niejeden śledziennik lub po prostu zazdrośnik chciwy strzału powie mi na to, że diwydenda dla jednego zawsze przecież może być większą niż dla dwóch — ale ja zdania tego zupełnie nie podzielam. O ile wstrętnem mi jest polowanie z całem stadem myśliwych, kiedy do jednego biednego szaraka trzech naraz mierzy i nieraz nawet więcej na sąsiadów trzeba się oglądać niż na to, co się w lesie dzieje -- o tyle uważam, że ekspedycye myśliwskie na servo stokroć zyskują, skoro się ma towarzysza wypróbowanego, którego niepowodzenie nie zrazi, niewygoda lub niepogoda o zły humor nie przyprawi, a z którym po całodziennych trudach zszedłszy się przy ognisku koliby, wesoło można puścić wodze językowi, podzielić się wrażeniami dnia całego — jednem słowem: mieć tę bratnią duszę, z którąby można pogadać po całodziennem przymusowem milczeniu. Ponieważ nieodstępny i tyloletni mój towarzysz Stadnicki tej jesieni, z powodu spraw ważnych, pojechać nie mógł, udałem się z propozycyą towarzyszenia mi w tej wyprawie do Juliusza Bielskiego, syna, z którym, choć tyle młodszy wiekiem, tyle już różnorodnych miłych wspomnień myśliwskich nas łączy, a o którym zupełnie byłem pewny, że zadaniu świetnie odpowie. Naturalnie, że bez chwili wahania propozycyę moją przyjął, a w dodatku jeszcze przy omawianiu całego programu dodał, że weźmie ze sobą strzelca. Dodatek ten przyjąłem z zapałem, zastrzegając sobie jednakże, iż przed naszą wyprawą musi koniecznie strzelca swego posłać na naukę do jakiegoś zdolnego kucharza.

Niejednemu zastrzeżenie powyższe może się wydać śmiesznem, ale łatwo je zrozumie, skoro wyjaśnię fakta. Różni ludzie różne posiadają talenta, czasami nawet trafiają się tak nazwani „Tausendkünstlery“, do których grona i ja po części zaliczać się mogę. Za młodych lat moich grywałem na skrzypcach, (wrodzona szczerość nie pozwala mi zamilczeć, że z dość ujemnym rezultatem dla uszu słuchaczów), umiem rzeźbić w drzewie, jestem prawie zawodowym rusznikarzem, ale cóż, kiedy matka natura zostawiła zupełnie zamkniętą klapę w mózgu moim dla sztuki kucharstwa. Nie mówię już o Gerardzie, ale prawie pewny jestem, że nawet Baczyński za kuchcika by mnie nie przyjął. Ile razy zabrałem się do jakiego nieszczęsnego kulinarnego dzieła, *fiasco* kompletne było rezultatem takiej próby; kasza regularnie w jednej zbitej bryle przylgnęła do kociołka tak, że ją niemal siekierą wydobywać trzeba było — z bulionu robiła się albo galareta, albo jakieś pomyjki, które wstyd było pokazać mojemu wyżłowi — jednem słowem ignorancya najkompletniejsza w tych kwestyach. Zrozumie zatem łatwo każdy, dlaczego towarzysz posiadający strzelca, który bodaj cośkolwiek zgotować potrafi, cenną jest akwizycyą dla tego rodzaju wyprawy.

„Jelenie już zaczynają ryczeć“. Taka była pierwsza wiadomość; to też listy i telegramy zaczęły między nami kursować i chcąc zostawić trochę czasu jeleniom, żeby się na dobre rozryczały, postanawiamy na 20 września wyjazd w góry. Wszystko już było gotowe i już miałem telegrafować o konie do Doliny — gdy fatum zaprowadziło mnie na Wystawę, a tam spotykam się z księciem Prezesem, który bez przygotowania oświadcza mi, że na drugi dzień przybywa niespodziewanie Arcyksiążę Ferdynand d'Este i że liczy na to, iż jako myśliwy myśliwemu wszystko co jest warte widzenia z dziedziny łowiectwa przedstawię. Wprawdzie mieliśmy w dziale naszym prezesa, wiceprezesów sekcyi i różnych dygnitarzy — czemuż więc *fatum* zdziałało, że właśnie kiedy jelenie w najlepsze ryczą i ja na drugi dzień miałem jechać w góry — żadnego z nich we Lwowie nie było i na moją osobę spadał obowiązek moralny oprowadzania Arcyksięcia? Te i tym podobne uwagi snuły mi

się po głowie przez 24 godzin w mniej parlamentarnej formie, i nawet już zaczynałem myśleć, że cała wycieczka w wodę wpadnie, gdyż niewiadomem było, na jak długo Arcyksiążę przyjeżdża — gdy naraz dostałem wiadomość, że wizyta ograniczy się na dwóch dniach, a tem samem i wyjazd nasz tylko małego dozna opóźnienia.

Nareszcie tedy 24go września, w śliczny, pogodny dzień ruszyliśmy, zjechawszy się w Stryju, z Doliny do Ludwikówki. Po drodze w Zakli czekał na nas taksator lasowy Maschek; pokazał on nam raport z dnia poprzedniego, z którego przekonaliśmy się, że na różnych punktach skonstatowano dobrze ryczących do 30 jeleni. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, że pojedziemy do Beskidu, gdyż zdawało się według raportu, że tam najwięcej jest jeleni i to najwięcej skoncentrowawanych. Zabawiwszy tedy w Ludwikówce tyle tylko, żeby zebrać ludzi potrzebnych nam do noszenia rzeczy i prowiantów, ruszyliśmy dalej do Beskidu i stanęliśmy koło 5ej popołudniu na leśniczówce, która miała być kwaterą jeneralną naszej ekspedycyi. Tu leśniczy Merkwart potwierdził nam ranny raport, chociaż i to nie było potrzebnem, gdyż stojąc w wąwozie koło leśniczówki, doskonale było słychać potężny ryk 5ciu czy 6ciu jeleni.

Pora dnia była już tak spóźniona, że o dalszym marszu nie można było myśleć; poszliśmy więc na próbę do niezbyt oddalonego zrębu, w którym słyszeliśmy ryczącego jelenia. Próba ta jednak zupełnie się nie udała, w miarę bowiem jak się do niego zbliżaliśmy, jeleń się oddalał, aż wreszcie noc zapadła i musieliśmy wrócić na leśniczówkę. Tu nastąpiła walna narada, a rezultatem jej było, że Bielski z leśniczym Merkwartem pójdzie na wielki Łysak i Perebyty, gdzie ryczały 2 jelenie, ja zaś ze Schmelcerem na wielką Migłę, na której, jak ludzie powiadali, ryczał istny dziadunio tamtejszych jeleni.

Nazajutrz rano, skoro świt, byliśmy gotowi do pochodu. Mrozik biały ścisnął trochę ziemię, dzień obiecywał być pięknym i wszystko w bardzo różowem świetle nam się przedstawiało. Migła, okrutne górzysko, piętrzyło się przed samą leśniczówką i przyznam się, że mi się trochę niewyraźnie zrobiło, skoro na zapytanie moje, którędy się na wierzch dostaniemy i jak długo iść trzeba, odebrałem lakoniczną odpowiedź Schmelcera: *„Grad aus und kleine zwei Stunden“*. Owo „Grad aus“ było na nieszczęście bardzo wyraźnem, ale z doświadczenia długoletniego domyślałem się, że 2 godziny co najmniej na 4 się przydłużą. Lecz darmo! nie przyjechałem po to, żeby bitemi gościńcami chodzić. Mierzonym tedy a powolnym krokiem rozpoczęliśmy pochód. Ryk jelenia dolatywał nas z góry i mogę zaręczyć, że mało znam stymulansów, któreby tak skutecznie drogę skracały i nowe siły w człowieka wpędzały. Na mniej więcej pół godziny od szczytu, skąd właśnie miałem rozpocząć podchodzenie, nagle jeleń ucichł. Czekaliśmy dobrą chwilę — nie odezwał się ani razu — na ślepo zatem dokończyliśmy nasz marsz i dobiliśmy się na sam szczyt góry.

Jeżeli w jakim wypadku okrutna doza filozofii i cierpliwości jest potrzebna, to z pewnością w tych razach, w których jedynie apatyczne poddanie się losowi i nadzieja w ślepy traf do dodatniego rezultatu doprowadzić mogę. Jeleń, skoro go słyszeliśmy, ryczał na mniej więcej połowie stoku góry, wybraliśmy sobie więc punkt obserwacyjny na trochę czystszem miejscu, gdzie mnóstwo tropów przypuszczać dozwalało, że jeleń tamtędy, udając się na szczyt, w południe przechodzić będzie. Lecz południe przyszło i przeszło, a jelenia jak nie ma tak nie ma — a tymczasem na przeciwległej górze jakby na urągowisko dwa jelenie ryczą, że aż las chodzi. Schmelcer przypomina sobie raptem, że na przeciwnym stoku góry jest zrąb, i że może jeleń, podczas kiedy my szliśmy pod górę, tam się na dzienną siestę wybrał. Pozostawia mnie tedy na miejscu, a sam idzie na zwiady do zrębu, dając mi instrukcyę jaknajspokojniejszego siedzenia i nie ruszania się. Stosując się więc do tego polecenia, przesiedziałem jakby przed aparatem fotograficznym do 3ej godziny po południu, podobno się nawet trochę zdrzemnąłem — gdy naraz zdaje mi się, że wprost przed sobą na dole słyszę głos jelenia. Natężam słuch w tę stronę i doznaję wrażenia, jak gdyby mi kto iskrę elektryczną przez ciało puścił. Tak jest, rzeczywiście — to jeleń, który nie rycząc wprawdzie, ale od czasu do czasu pobekując, z dołu ku górze zwolna się posuwa. Nie mógł to być inny, jak ów dziadunio, o którym ludzie wspominali, drugiego bowiem na górze nie było i głos basowy dowodził, że musi to być bardzo silna sztuka. Zerwałem się na równe nogi i stanąwszy po za grubym złomem, czekałem gotów do strzału na chwilę, kiedy będę mógł go zoczyć. Głos coraz więcej zbliżał się, słyszałem już nawet kamienie, które się staczały pod jego stąpaniem, ale pomiędzy złomami i malinami ani weź, jelenia dojrzeć nie mogłem.

Myśliwy, który słyszy przed sobą w nieprzejrzanym gąszczu niedźwiedzia lub odyńca, i z palcem na cynglu wyczekuje chwili, kiedy mu na linię wypadnie, łatwo zrozumie, co się ze mną przez tych kilka chwil działo. Jeleń szedł i porykiwał ciągle, zdawało mi się, że już nie musi być dalej odemnie jak na jakie sto kroków — gdy wtem nagle umilkł. Czy on mnie pierwszy niż ja jego zobaczył albo zwietrzył, bo z bardzo złym wiatrem stałem, nie wiem — dosyć, że od tej chwili wpadł jak w ziemię i tylem go widział, a raczej nie widział.

Po dobrej godzinie przyszedł do mnie Schmelcer, a raczej podkradł się jak kot, usłyszałem go bowiem i zobaczyłem, skoro był tuż obok mnie, i wietrząc jak wyżeł ku dołowi mówi mi: „Es muss hir ein starker Hirsch gewesen“. Opowiedziałem mu całe zajście, po którem nic nie pozostało do roboty, jak tylko znowu czekać. Czekaliśmy zatem i czekali, aż się ciemnieć zaczęło i trzeba było myśleć o odwrocie. O przenocowaniu na górze mowy być nie mogło, nie miałem bowiem ze sobą cieplejszego odzienia, prowianty były wyczerpane, ognia rozpalić nie można, bo by sobie tem najlepiej można wypłoszyć jelenia, a w dodatku zaczęła spadać tak nazwana górska mgła, a co ja właśnie uczciwym deszczem nazywam.

Każdemu przeciętnie rozsądnemu człowiekowi wydawać się będzie, że skoro pod górę idzie się dwie do trzech godzin, to idąc na dół połowę tego czasu wystarczy. Jeżeli tak jest, to niechże ten naiwny człowiek sprobuje ekspedycyi na ową Migłę, a przekona się, jak dalece teorya różni się z rzeczywistością. Nie będę szczegółowo opisywał tego marszu, powiem tylko, że zacząwszy schodzić po godz. 5ej, dobrze po 9ej stanąłem na leśniczówce, mając jako finale do przejścia wbród wcale przyzwoity potok. Jakim sposobem nie połamałem sobie członków i nie powybijałem oczu i dlaczego ubranie się jeszcze na mnie trzymało, do dziś dnia tego nie rozumiem; ale to wszystko mnie raz więcej upewnia, że tak jak dla dzieci i pijaków, jakaś partykularna istnieje Opatrzność także dla myśliwych. Bielskiego zastałem już zabierającego się do snu po również niefortunnem podchodzeniu jelenia.

Na drugi dzień, ponieważ zanadto byłem zmęczony żeby tę samą ekspedycyę powtarzać, postanowiliśmy, że Bielski będzie próbował szczęścia na Migle, ja zaś miałem iść do młodszej jej siostry, gdzie dnia poprzedniego ryczały owe dwa jelenie wówczas, kiedy mój dziadunio milczał. W nocy i nad ranem mgła tak się rozpanoszyła, że nawet tamtejsi ludzie nazwali ją deszczem i w ten tedy deszcz, nałożywszy płaszcze nieprzemakalne, puściliśmy się każdy w swoją stronę. Dzień ten jednakże również zeszedł na niczem, bo deszcz widocznie ujemnie wpłynął na sentymenta jeleni, gdyż żaden z nich ani pary ze siebie nie puścił. Siedzieliśmy i mokliśmy, przedzieraliśmy się przez niemożliwe złomy i maliny, urozmaicone tego dnia potokami owej wody która za każdem dotknięciem krzaka lub drzewka za kołnierz się wylewała — i wróciliśmy z niczem do leśniczówki.

„Nadzieja matka głupich“ — powiada powiastka; może to i prawda, ale niech mnie każdy myśliwy osądzi, czy bez tej nadziei narażałby się człowiek na te wszystkie negatywne przyjemności.

Tego dnia miałem sposobność przekonać się naocznie o sprężystości jelenia i wielkości skoku, który może zrobić. Idąc pod górę nieużywaną i miejscami strupieszałą ryzą, zobaczyłem na przeszło sto kroków przedemną łanię z małem cielęciem spuszczającą się z bardzo stromego urwiska z góry ku ryzie. Stanąłem jak wryty w nadziei, że za łanią może zobaczę jelenia i widziałem jak łania, doszedłszy do ryzy, niewiele się namyślając z miejsca, jednym susem przeskoczyła całą ryzę, mającą w tem miejscu co najmniej półtora metra wysokości a około 6ciu metrów szerokości i stanęła na drugiej stronie oglądając się za cieleciem. Cielę wydało mi się bardzo zakłopotane, skakało z miejsca na miejsce piszcząc żałośnie, nareszcie spostrzegłszy się widocznie, że innej rady nie ma, zebrało się na odwagę i również jednym susem przesadziło całą przeszkodę, nad którą niejeden dobry wyścigowy koń by się zawahał.

Widząc, że jakoś w tej stronie się nam nie wiedzie, postanowiliśmy dnia następnego spróbować jeszcze szczęścia rankiem, a następnie co będzie to będzie, wrócić do Ludwikówki i w innym dziale lasów starać się spotkać z owemi niewidzialnemi jeleniami. Aspekta ranne bardzo się nam smutno przedstawiły; deszcz padał bez przestanku, jelenia żadnego nie było słychać i tylko Schmelcer, doprowadzony do ostatecznej irytacyi owemi dwoma nieudanemi dniami wybrał się gdzieś w nocy i powiedział, że słyszał źle odzywające się dwa jelenie. Puściliśmy się więc w drogę długim i szerokim, bagnistym miejscami wąwozem, porosłym niską świerczyną i olszyną. Szliśmy tak z dobrą godzinę w bardzo nieciekawem usposobieniu, aż nareszcie doszliśmy do miejsca w którym olszyna już była wyniośléjsza, a na lewym stoku góry po za wąwozem ciągnął się zrąb.

Nagle, gdzieś na zrębie, odezwał się jeleń. Stanęliśmy jak wryci i z krótkiej narady wypadło, że o podchodzeniu go w zrębie mowy być nie może i jedyna szansa była, gdyby go się udało zwabić ku wąwozowi. Schmelcer zaryczał tedy, używając do tego szklannego cylindra z lampy naftowej, a ryk tak doskonale był udany, że jeleń zaraz gniewnie się odezwał na miejscu, a następnie jak gdyby chciał się przekonać, skąd się wziął ów intruz, porykując, zaczął się spuszczać zrębem ku wąwozowi. Ponieważ kierował się trochę ku przodowi, podeszliśmy może z jakie sto kroków, gotowi do strzału i wypatrując w stronę ryku, gdy w tem nagle leśniczy Merkwart, który szedł przodem przedemną, przypadł do ziemi dając mi rozpaczliwe znaki, żebym podchodził. Poskoczyłem więc parę kroków i ujrzałem na raz przez rodzaj naturalnej luki na może 200 kroków jelenia, który rycząc spuszczał się zrębem ku wąwozowi. Wrażenia tej chwili, kiedym to prześliczne zwierzę zobaczył, nie jestem w stanie opisać; czułem tylko, że mi serce gdzieś między zębami się tłucze, ale rozwaga myśliwska na szczęście wzięła górę i przyklęknąwszy za małym świerczkiem, przyłożyłem ekspres do ramienia. Jeleń schodził powoli strasznie długo mi się to wydawało ale ponieważ ciągle zwrócony był do mnie przodem na sztych miałem na tę odległość strasznie wązko i mało na muszce do mierzenia. Powiedziałem sobie jednakże, iż póki jelen iść będzie, nie strzelę i czekać będę, czy się nie zbliży. W istocie, zeszedł aż do samego wąwozu i doszedłszy do olszynki stanął podniósł głowę i zaczął wypatrywać czy wietrzyć. Wtedy czasu i wyboru już nie było do stracenia, bo gdyby był krok na prawo lub na lewo zrobił, byłby mi zniknął z oczu; to też wycelowawszy wprost w piersi między przednie łapki, pociągnąłem za cyngiel. Z powodu deszczu i wilgoci tak silny się dym rozszedł, że tylko jak przez mgłę zobaczyłem szalony skok jelenia i zniknął mi z oczu. Okropnie coś zatrzeszczało w złomach, następnie tentent jakby galopującego konia, a potem cicho i straszna chwila niepewności. Chciałem w tej chwili rzucić się naprzód i zobaczyć, co się stało ale mnie Schmelcer za poły przychwycił mówiąc, że najkardynalniejsze przepisy myśliwskie nakazują nie ruszać się z miejsca. Oprzytomniałem natychmiast ale przyznać muszę, iż owych chwil wyczekiwania nie mogę zaliczyć do najmilszych.

Wiedziałem, że dobrze i spokojnie wymierzyłem, miałem to niezawodne dla każdego myśliwego uczucie, że trafiłem i skok rozpaczliwy jelenia zdawał się potwierdzać to wrażenie, ale przecież niepewność także wkradała się do mego serca. Strzelałem jak się potem przekonałem na 130 do 140 kroków, bo z powodu trudności terenu nie mogłem dokładnie kroków obliczyć, a na tę odległość strzelając jelenia na sztych, kula mogła bardzo łatwo na parę centymetrów zboczyć i drasnąć go po łopatce lub po szyi. Jednem słowem, już mi się całkiem niemiło zaczynało robić, gdy Schmelcer powstał i przez bagno i potok zaczął się przedzierać na miejsce postrzału. Wyprzedził mnie dobrze i stanąwszy na miejscu, zdjął kapelusz, mina mu się rozjaśniła i zawołał do mnie: „*Gratulire, der liegt nicht weit*“. Na postrzale była cała kałuża farby, która od razu bryznęła i za którą idąc jakby za krwawym szlakiem, przedzierając się przez niemożliwe haszcze i złomy, doszliśmy do miejsca, gdzie jeleń już prawie zastygły leżał. Silny bardzo w ciele, ale ósmak. Rogi jego, które już w moim pokoju na ścianie wiszą, nie pozwalają nic przekształcić go na większy okaz, ale mogę z całą szczerością zaręczyć, że ów ósmak w tych okolicznościach strzelany i zabity, większą mi zrobił przyjemność, niż może 20tak ubity w łatwiejszych warunkach.

Mam więc i ja górskiego naszego jelenia, a jako morał całego opisu łowów na niego wyprowadzić muszę konkluzyę, że są ludzie, którzy kupują losy na loteryę w nadziei wygranej, a rzadko kiedy ją widzą. Otóż to samo powiedzieć mogę o naszych jeleniach w Wełdzirskich górach. Przed wyjazdem radzę zapalić świeczkę do bogini Diany a drugą do św. Huberta, spuścić się zresztą na ślepy los i uśmiech fortuny. Taki fatalistyczny orientalista prędzej może być w trudach swoich wynagrodzony, niż ten, który jedzie z pewnem przekonaniem, że nie może bez jelenia wrócić.

Lwów 16 października 1894.

Stefan Szembek.

W ZASIADCE NA LWY.

W nr. 9 „Łowca“ podaliśmy relacyę hr. Ernesta Hoyosa z wyprawy myśliwskiej do kraju Somalisów w Afryce. Jest tam między innemi wzmianka, że towarzysz Hoyosa, hr. Ryszard Coudenhove, strzelał jednej nocy księżycowej do sześciu lwów, a cztery z tego ubił. Jest to wypadek jedyny może w annalach myśliwstwa, słusznie więc oczekiwano na szczegółowszą w tym względzie relacyę. Jakoż hr. Coudenhove zamieścił obecnie z tej wspaniałej nocy myśliwskiej sprawozdanie, które tu za nim powtarzamy.

„Była to noc z 16. na 17. lutego 1894 — opowiada hr. Coudenhove — ośmnasta z rzędu, którą łowom na lwy poświęcałem, nie mówiąc już o innych rozmaitych usiłowaniach w ciągu półtrzecia miesiąca, ażeby się gdzie ze lwem spotkać.

Już w pierwszych dniach grudnia 1893 ubił hr. Hoyos dużego lwa, samca. Ażeby więc i mnie dać rychłą sposobność ubicia króla zwierząt i tak najgorętsze pragnienia me ziścić, pozostawiał mnie jak najbezinteresowniej wszędzie tam, gdzie można się było lwa spodziewać. Ale wszelkie zabiegi pełzły na niczem, każdy zamiar nie dopisywał — lwy zawsze były tam, gdzie mnie nie było.

W takich warunkach stawało się usposobienie moje coraz posępniejsze, nadzieja, że ubiję wreszcie króla zwierząt, topniała coraz bardziej. Wrócić do Europy bez lwa ubitego — to nie był wcale wymarzony przezemnie wynik naszej wyprawy.

Rozpoczęliśmy już marsz powrotny, gdy nareszcie hr. Hoyos, który szedł zawsze na czele naszej karawany, natrafił na słonie i miał to szczęście jedną wspaniałą sztukę, z tych i w Afryce już teraz coraz rzadszych zwierząt, ubić. O ćwierć mili od miejsca strzału rozbiliśmy wówczas obóz w cieniu wielkiego drzewa.

Dnia następnego, wczesnym rankiem, wymknąłem się z obozu i podążyłem ku miejscu, gdzie słoń ubity leżał. Zanim jednak zdołałem do słonia się zbliżyć, zoczyłem już z daleka lwa samca, który widocznie do skóry martwego kolosa się dobierał. Rzuciwszy się tedy na ziemię i pełzając na brzuchu, podkradłem się na 70 kroków do rabusia i już chciałem się złożyć, gdy w tem drugi lew, ukryty dotychczas za cielskiem słonia, wychylił łeb, a ujrzawszy mnie, rzucił się w popłochu w krzaki i pierwszego za sobą pociągnął.

Przystąpiłem teraz do słonia, który już zaczął z siebie nie zbyt miłe wonie rozkładowe wyziewać. Olbrzymi jego ryj był przez lwy odgryziony i w przległych krzakach można było widzieć ślady, gdzie się tym przysmakiem dzielono. Otóż przy resztkach tej biesiady przesiedziałem w ukryciu 2 godziny, chcąc przemocą spotkanie z lwami wywołać — lecz nadaremnie. Ani jeden lew się nie zjawił, a słońce tym czasem zaczęło tak strasznie dopiekać, jakto ono tylko w Afryce potrafi, że w końcu ochłodziło moją jeszcze gogoretszą passyę myśliwską i zmusiło mnie do odwrotu.

Ali-khar, szef naszej czarnej karawany, kazał w pobliżu słonia zabitego urządzić rodzaj budki czy parawanu z kolczastych krzewów i sitowia. Wyglądało to całe jak krzak a miało okienka i strzelnice, z których widać było po jednej stronie kadawer słonia, po drugiej zaś osła, którego na przynętę lwom przywiązano. Na obie strony można było wygodnie strzelać. Już w czasie sporządzania tej budki, ujrzeli nasi ludzie lwa, który się w pobliżu pokazał, lecz jeszcze prędzej umknął.

Tak minęło popołudnie, a zanim ciemność, która w Afryce tak nagle zapada, ogarnęła step, wybrałem się z trzema Somalisami, Duala, Hadą i Esmanem do budki. Zaledwośmy w niej usiedli, uderzył mnie bardzo nieprzyjemnie odór psującego się słonia; rozkład pod wpływem afrykańskiego gorąca, uczynił tak szybkie postępy i wydzielał takę masę cuchnących gazów, że nawet murzyni, nie bardzo tkliwi na zasady, nosy sobie zatykali. Smród nieznośny zniewolił i mnie do tego, żem nozdrza watą karbolową pozatykał, gdyż inaczej, mimo największych wzruszeń łowieckich, nie byłbym w tej okropnej atmosferze całą noc wytrzymał.

Biedny osioł, skazany bezlitośnie na ofiarę, został przywiązany i tak byliśmy już o koło 7-mej godziny wieczorem gotowi. Jeden z towarzyszących mi Somaliuów miał obowiązek ciągłego wyglądania przez strzelnice i raportowania co widzi, ja zaś i obaj dalsi towarzysze posiadaliśmy na ziemię czekając, co nam los przyniesie.

Była — to jak już rzekłem — ośmnasta noc, którą poświęcałem zasiadkom na lwy. Można zatem sobie wyobrazić, że nie bardzo byłem przyjemny, a przecież tkwiła we mnie jakaś pewność, że teraz nie czekam nadaremnie. I w istocie! Zaledwo uświadomiła się wemnie ta pocieszająca pewność, wypadła lwica a tuż za nią lew z wysokich krzaków, i potężnemi skokami padła na grzbiet osła, kurz, hałas, wierzganie, ryk — wszystko razem zmieszało się w jednej chwili tak, że trudno mi było dojrzeć łba lwicy; lecz wreszcie wziąłem go na muszkę między ślepie i strzeliłem. Zaraz potem strzeliłem jeszcze raz w głowę; było to już zbytecznem, lecz tuman kurzawy nie dozwolił mi ocenić natychmiast skutków pierwszego strzału. Lwica padła bez ruchu, a osioł rzecz szczególna — stał obok niej prawie, całkiem nie uszkodzony. Gdy zaś srogą swą nieprzyjaciółkę u nóg swych martwą zobaczył, wpadł w istną wściekłość, kąsał i walił ją kopytami bez opamiętania. Wysoce komiczną była ta scena, lecz należało jej koniec położyć, z obawy o całość futra lwicy. Poczęliśmy zatem nawoływać osła do porządku i nareszcie opuścił go paroksyzm taniej odwagi.

Tymczasem nastały ciemności, księżyc począł się wznosić ku górze i zajaśniała najwspanialsza, prawdziwie afrykańska noc księżycowa. Tarcza księżyca oświeca tam jak w dzień step biały, okryty krzewami, a konstelacye południowego nieba rzucają o wiele jaskrawsze światło, pomagając księżycowi lepiej, niż gwiazdy północy. W około zaś poczyna się dopiero ruch i życie rozlicznych zwierząt, jakiego sobie nawet bujna fantazya nie zdoła wyobrazić. Ległem na grzbiecie, zapuszczam wzrok we wspaniałą banię niebios i oddaję się cały potężnym, czarującym wrażeniom tego obrazu, temu majestatowi natury wśród nocy, w bezludnej pustyni, którego, niestety, ani w części nie jestem w stanie opisać. Oświadczam tylko z wszelką skromnością, że na całym świecie nie ma może miejsca, któreby usposobiało tak do modlitwy i do podziwiania wzniosłości przyrody, jak noc w Afryce pod niebem pełnym gwiazd. Można tu bez końca myśleć i marzyć, a wyobraźnia zapusza się w niezmierzoną dal i do odległej powraca ojczyzny. Wszystko cośmy w życiu kochali staje wówczas przed oczami na tle tej dzikiej pustyni, stokroć piękniejsze i większe i stokroć nam droższe...

Zatopiony w głębokich marzeniach, usłyszałem nagle szczególne szmery, zrazu cichutkie potem coraz silniejsze, a potem przechodzące znów w piansisino jak najcichsze. Wreszcie tworzyć się z tego poczęła coraz silniej brzmiąca, szczególna jakaś melodya i zakończyła się gwałtownym akordem. I cóż to było? Oto cała ta muzyka wydobywała się z wnętrzności martwego słonia, a tworzyły go coraz gwałtowniej wydzielające się gazy skutkiem postępującego rozkładu. Trudno mi nawet wyrazić jaki to był szczególny szmer i gwar i łoskot; przechodził on od najwyższych tonów klarnetowych aż do najniższego basu, i tworzyły się stąd dzikie akordy, przerywane tak silnemi wybuchami głosu, że zdawało się słyszeć gwizdawkę parowca. I cały ten hałas muzykalny z efektami strzałów trwał przez noc całą i był nie wątpliwie powodem, dlaczego nadchodzące później lwy na strzały moje wcale nie zwracały uwagi.

Niespełna w godzinę po ubiciu lwicy pojawił się znowu lew, który z rykiem skoczył na osła; musiało go jednak coś przestraszyć, gdyż jeszcze prędzej porzucił swą zdobycz i uciekł, kula moja chybiła go. Somalis Hada, nie omieszkał mnie pocieszyć, tak, jak to czynić zwykł regularnie po każdym pudle, używając do tego w pocieszny sposób wyrazów: *big one!* — t. j. mniej więcej „wspaniała sztuka“ — w mniemaniu, że ta pochwała chybionego zwierza zmniejszy mój gniew i żal, żem go chybił.

Lecz nie długośmy czekali. Może w 10 minutach po wspomnianem pudle, wypadł znowu ryczący lew na osła. Temu wpakowałem kulę w szyję, gdy siedział już na ośle. Wśród szczególnego jęczenia śmiertelnego powlókł się jeszcze na 30 kroków i legł.

Lecz teraz rozpoczął się tuż około mnie koncert, przerażający swą grozą. We wszystkich sąsiednich zaroślach ryczały lwy na przeróżne tony, to bliżej to dalej, to z siłą grzmotu, to słabiej, a jeden ryk łączył się z drugim w istną kaskadę grzmotów, pełną czysto afrykańskiego charakteru. Ile tam tych lwów było, znęconych widocznie cuchnącem cielskiem słonia, trudno wiedzieć; w każdym razie była to bardzo poważna gromada.

Brehm mówi, że ryku lwa nie podobna opisać — i ma słuszność. Wychodzi on gdzieś głęboko z piersi, jak gdyby ją chciał rozsadzić. Trudno zmiarkować, z której strony ryk nas dochodzi, a to dlatego, że lew, rycząc, ma pysk zwrócony ku ziemi, głos jego tedy odbija się o ziemię i po niej dopiero, jak odgłos grzmotu, w dal idzie. Nam łowcom przypomina ten ryk cokolwiek ryczenie jelenia w czasie rykowiska, chociaż rozjątrzony lew więcej warczy niż ryczy.

Zaledwo wzmiankowany wyżej król zwierząt się rozciągnął, ukazała się w świetle księżyca sylwetka nowego lwa, który z niesłychaną ostrożnością i krętemi chodami zbliżał się do osła. Zaniepokojony zapewne widokiem obu ubitych lwów, przysiadał co chwila, i podkradał się sposobem kotów pod osła, to znów się oddalał, aż nareszcie skoczył na niego potężnym susem. Lecz osioł, zahartowany wytrzymaniem tylu ataków, przyjął króla zwierząt tak gwałtownemi uderzeniami kopyt, że lew stchórzył i umknął w zarośla prędzej, niż mogłem wziąć go na cel i strzelić. Wściekły byłem na siebie i na tchórza-lwa i na bohatera osła, a Hada znów mi szepnął na pociechę: *big one!*

Osioł nasz był doprawdy wyjątkowym osłem. Wytrzymał już napady czterech lwów i stał ciągle nie wiele podrapany i gotów do walki. Podziwiałem go doprawdy, a że po wszystkich tych hałasach i strzelaninie można było przypuścić, że już się żaden lew nie pokaże, więc uczyniłem w duszy ślub, że biednego osła, w nagrodę za jego męstwo, nigdy już na łup lwom nie wystawię.

Lecz, niestety, inaczej się stało! Zaledwom się nad nim ulitował, dosiągł go los nieubłagany; nowy lew wypadł z zarośli, jednym skokiem obalił go i rozdarł. Strzelam jak mogę najprędzej; lew stoczył się z osła, lecz zaraz się podniósł i z rykiem ku nam się zwrócił. Nie tracąc czasu, strzelam znowu, poczem lew padł na miejscu i po kilku minutach ofiara i morderca leżeli koło siebie nieżywi.

A zatem trzy lwy padły już pod mojemi strzałami. Pełen radości myślałem sobie: no, na dziś już dosyć. A księżyc schodził już wówczas z nieba i ciemność okryła wszystko na okół. Położyłem się tedy na kocu, i przysłuchując się muzyce, którą wytwarzał rozkład zabitego słonia, chroniłem jak mogłem nos mój od okropnych odorów.

Tak upłynęły dwie godziny, gdy z zadumy zbudziło mnie znowu groźne ryczenie. Ocierając się niemal o budkę, przybliżał się powoli i ostrożnie nowy lew, zmierzając ku rozdartemu osłu, przyczem to ryczał, to znów skradał się milcząc. Widocznie cała sytuacya była mu bardzo podejrzaną. Tymczasem z drugiej strony nadszedł drugi lew i zabrał się do słonia. Ten nie dbał zupełnie o to, co się w koło niego dzieje, wydzierał z cielska słoniowego całe płaty mięsa, kładł się w wydarte w ten sposób jamy w cielsku i gospodarował hałaśliwie, podchodząc czasami aż pod samą budkę.

Drżący ze wzruszenia, starałem się wzrokiem przeniknąć ciemności, lecz nie mogłem żadnego z tych rabusiów wziąć na cel. Mierzyłem kilka minut do lwa, który był przy ośle, i w końcu na chybi-trafi pocisnąłem cyngiel. Lew odpowiedział na strzał mój przerażającym rykiem i zniknął.

Rzecz szczególna, iż odgłos tego strzału nie spłoszył całkiem lwa drugiego, który polędwicami słonia się zajmował; szarpał on dalej mięsiwo i pożerał kawałek po kawałku.

Nie mogłem i tego lwa dobrze dojrzeć, ale ulegając namowom Somalisów, wymierzyłem mniej więcej w tę stronę i dałem ognia. Jednakże i na ten strzał nie zwrócił lew uwagi. Nie wiedzieliśmy doprawdy, co już o tem wszystkiem sądzić. Wreszcie przestaliśmy się żarłokiem zajmować, poczęliśmy rozmawiać głośno, ja nawet zapaliłem fajeczkę i dopiero po jakimś czasie ucichły odgłosy szarpania mięsa i żarcia.

Nakoniec zaczęło świtać i nadszedł gorąco oczekiwany poranek. Wyszliśmy z budki i znaleźliśmy natychmiast lwicę i dwa ubite lwy. Przyszliśmy także na ślady ostatniego, a jak trop wskazywał największego lwa, do którego już po ciemku przy ośle strzelałem; pokazała się obfita farba; szliśmy tedy za nią to w górę, to znów na dół, aż nam nagle zniknęła. Całe stada uwijających się tam pantarek, grzebiąc w piasku, zatarły dalszy trop i farbę.

Podczas gdy Somalisowie dalej poszli, aby ślady odszukać, skorzystałem z chwili i posłałem po mój hełm do obozu, gdyż wziąwszy na noc czapkę, nie mogłem teraz w niej na żarzące promienie słoneczne się narażać. W ciągu tego odszukali Somalisowie dalszy trop lwa, i znowu szliśmy za nim parę godzin przedzierając się przez krzaki i skały.

W chwili, gdym się właśnie przez zbity gąszcz przedzierał, usłyszałem nie dalej jak na dziesięć kroków od siebie gwałtowne łamanie gałęzi i widzę umykającego potężnego lwa z czarną grzywą. Poruszyło to nas wszystkich. *„Lyon, libah!“* szemrzą Somalisowie i nacierają ażeby spieszyć naprzód. Lecz zaledwieśmy jakie sto kroków uszli, słyszę o 30 kroków na prawo złowróżbne, silne mruczenie, które nas

tak zelektryzowało, żeśmy wszyscy jak na komendę w lewo zwrot zrobili. Lwa nie widzieliśmy wcale, ale wzruszenie i warczenie rozjątrzonego zwierza dochodziło nas ciągle i po głosie przypuszczaliśmy, gdzie się znajduje. Przeraził nas tedy niespodziany, bardzo bliski ryk, a towarzysz mój Harobl szepnął: *„Shoot sir, shoot!“* (Strzelaj pan, strzelaj!). Łatwiej to było poradzić, niż wykonać, gdyż ja widziałem zaledwo niewyraźną sylwetę zwierza za pniami i gałęziami krzewów, któremi był zakryty. Lecz wzywania, mego towarzysza były coraz natarczywsze, więc ulegając im, strzeliłem. Po strzale nastała grobowa cisza. Zbliżyliśmy się z niesłychaną ostrożnością ku miejscu, na którem lew stał, lecz sprawdziliśmy jedynie, że pień drzewa był przestrzelony, a lwa ani śladu.

Ruszyliśmy tedy dalej i po niespełna 20 minutach odezwał się znowu gniewny mruk i ryk, i lew w groźnej postaci, zwrócony ku nam, pojawił się na 30 kroków przedemną. Teraz można go było strzelać — strzelam więc — a lew się zwraca i znów znika w zaroślach i wszył się w taki gąszcz, że go nie można było żadną miarą dojrzeć.

Poczęliśmy rzucać kamieniami do zarośli, lew jednakże nic sobie z tego nie robi — każę strzelać na ślepo i to go nareszcie z ukrycia wyrusza. Biorę go na oko, strzelam — lew pada i znów się zrywa, strzelam po raz drugi, i widocznie dobrze, gdyż lew czołgając się, opuszcza zarośla — jeszcze jeden strzał i dobijam go nareszcie.

Okrzyk radośny zawtórował temu ostatniemu strzałowi, Somalisowie tańczą koło mnie z uciechy, i ja sam o mało co, że nie zacząłem tańczyć. Była to godz. 9 rano. Słońce poczęło dokuczać, a żołądek dopominał się o swe prawa. Wróciliśmy więc z Hassanem do obozu, gdzie wynik mej ośmnastej zasiadki na lwy niesłychaną wywołał radość“.

KORESPONDENCYE.

Tyczyn 4 grudnia 1894.

(Wypadek z odyńcem).

Ponieważ *Kurjer Rzeszowski* w numerze 4. z dnia 21 października b. r. a za nim inne dzienniki i „Łowiec“ w Nr. 11. powtórzyły wypadek, jaki się zdarzył dnia 16 października b. r. na polowaniu w Borku starym, w sposób niedokładny — przeto poczuwam się jako myśliwy do obowiązku sprostowania takowego w kompetentnym organie łowieckim.

W Borku polowaliśmy z pp. Adolfem i Konstantym Brunickiemi z pogonką na zające, lisy i rogacza — a nie „na dziki“ jak mylnie podano, gdyż w tym rewirze nigdy dzików nie spotykano. Wśród branych miotów w niskich liściastych zaroślach słyszę z mego stanowiska tupotanie i szelest liści jakby się zbliżał do mnie rudel sarn. Nagle na 5 kroków na sztych okazuje mi się głowa odyńca, który zwietrzywszy mnie przystanął, a podpisany mając Teschnerówkę nabitą zwykłym śrutem nr. 6 przepuścił odyńca przez linią i strzelił do przebiegającego w odległości 7 kroków po za uszy i w komorę. Po strzale odyniec zarył sobą o liściasty podkład lasu i poszedł w przeciwległą knieję. Gdy pogonka wyszła na linię okazała się w miejscu strzału ciemna farba, która znaczyła po liściach kilkanaście kroków i wskazywała, że dzik śmiertelnie raniony. Ponieważ pora była spóźniona, polecił gospodarz leśniczemu, by nazajutrz rano, zabrawszy ze sobą kilku ludzi doszedł odyńca, który prawdopodobnie z tej kniei nie wyjdzie. Leśniczy w swym zapale nie mógł dospać nocy do końca, ale skoro świt, gdy jeszcze ciemno było, wziąwszy leśnego udał się na miejsce strzału i dotarł do odyńca, który w gęstych krzakach o jakich 200 kroków od miejsca strzału leżał. Leśniczy Vogelgesang w mniemaniu, że odyniec już nie żywy, przystąpił do niego blisko, a gdy się zwierzę ruszyło, strzelił doń i trafił w nogę. Wtedy dopiero rozpoczęła się sytuacya niebezpieczna, bo odyniec w chwili, kiedy leśniczy do niego siekierą się zamierzył i cios takową w łeb mu chciał zadać, rzucił się, dobywając ostatnich sił na niego, przewrócił na ziemię i zadał 7 ran po obu nogach a nadto odgryzł mu mały palec u ręki.

Ponieważ strzał śrutem wymierzony przeszedł przez płuca odyńca i był śmiertelnym, przeto wskutek silnego upływu krwi i osłabienia odyniec ten doszedł bity nadto kamieniami przez chłopów, mszczących się na nim za wyjedzone kartofle.

Był to okaz górskiego odyńca z ogromnemi szablami ważący 180 kilo.

Leśniczy po 6-tygodniowej kuracyi w szpitalu Rzeszowskim przyszedł do siebie.

Mieczysław Jabłoński.

Z Lichwina w listopadzie.

(Z polowania).

Pewny, że Sz. Redakcya nie posiada bogatej statystyki łowieckiej z okolic Tarnowa, pewny, że „Łowiec“, choćby skromne wiadomości o polowaniach chętnie notuje w swych łamach, świadczę się św. Hubertem, że nie z mojej winy od 10ciu lat z okolic Tarnowa, żadnego sprawozdania do „Łowca“ nie podałem. Dziś gdy mi to możliwe, gdy brałem udział i byłem naocznym świadkiem polowania w Lichwinie, własności p. Bronisławy Sroczyńskiej, które jako dorocznie odbyło się w dniu 27 listopada, spieszę z wiernem sprawozdaniem.

Po 5-cio godzinnej istnej tyralierce w 10 strzelb i w 40ci nagonki, na obszarze 400 mórg, ubiliśmy: 2 rogacze, 3 lisy i 11 zajęcy, razem 16 sztuk. No, to znów nie tak wiele! Ba, gdy się zauważy, że i w Lichwinie kilku myśliwych spotkał „pech“, wskutek czego kilkanaście zajęcy i parę lisów uszło spudłowanych, lub niestrzelanych; gdy się zauważy, że sarny w rudlach po 3—5 sztuk widywano w kilku miotach, to odwrotna strona medalu polowania w Lichwinie zupełnie zadowolnić nas może.

Sarny albo nie dały się wypędzić na linje albo też przechodziły bez strzału z powodu, że znachodziły się w miotach z gęstemi młodnikami liściasto-iglastemi, nadto, że za linje do strzelania służyły wązkie a łamane drogi, co wziąwszy razem, uniemożliwiało rozpoznanie kozłów. Czy

przytoczone okoliczności były słuszne, niechaj św. Hubert sądzi. Ja bezparcyalnie twierdzę, że tak sarny jak i inna zwierzyna uchodziła bez strzałów dlatego, że za długo trwał odpoczynek pod lasem u młodej propinatorki, gdzie zastawiono stół z zimnemi i gorącemi przysmakami i mnogą liczbę flaszek z nektarami wszelkiego kalibru.

Lecz pocieszajmy się, że co zwierzyny uciekło, to tylko się jej odwlekło. Gdy Bóg pozwoli doczekać rocznicy, już dziś przyrzekam zaraportować, jak się w lichwińskiej kniejce rozgospodarowała zwierzyna. A teraz niech mi wolno będzie powtórzyć p. B. S. czołem za ciepłą gościnność, dzięki p. Z. S., młodziutkiemu dowódcy z armii św. Huberta, za znakomite kierownictwo polowaniem, a także dzięki królowi polowania p. S. P. za uprzyjemnianie nam wieczorku na skrzypcach, przy akompaniamencie fortepianu p. K. Z. Czołem! *W. Charlewski.*

Stryj w grudniu 1894.

(Grzeczność sąsiedzka).

Jak przyjemnymi bywają czasami sąsiedzi myśliwi, niechaj posłuży następujący fakt, który się wydarzył na polowaniu Towarzystwa myśliwskiego „Stryj" w lasach miejskich „Hajduczyzna". Lasy te dzierżawi Towarzystwo myśliwskie od Magistratu miasta Stryja. Jedną stroną przypierają one do obszernych lasów majątku Darzawy, która właśnie w tym roku zmieniła właściciela. Z poprzednim właścicielem Darzawy p. S., długoletnim członkiem naszego Towarzystwa, żyło Towarzystwo w wielkiej zgodzie a nawet dzierżawiło lasy powyższe do spółki. Nowy właściciel p. Z. inaczej jednakowoż na sąsiadów się zapatruje. Dnia 4 listopada polowało nasze Towarzystwo w Darzawie. Ledwośmy przyjechali do kniei, słyszymy gęste salwy z strzelb wzdłuż naszych rewirów. Zaciekawieni co to ma znaczyć pytamy leśnego, który nam wnet cel tych strzałów objaśnił. Oto nowy p. właściciel rozkazał swej straży stanąć na granicy wzdłuż naszych rewirów i od wczesnego świtu raz po raz strzelać, by nam zwierzynę przepłoszyć. Nie dość na tem — leśniczy darzawski przychodzi do nas i oznajmia nam, że p. dziedzic nie pozwala stać nam na liniach granicznych dzielących jego rewiry od naszych.

Ponieważ kopce graniczne leżą wśrodku linii a więc w każdym razie połowa linii do nas należy, odesłaliśmy owego leśniczego do p. dziedzica z odpowiedzią, która go może o prawach własności pouczyła i polowaliśmy dalej bez przeszkody, bawiąc się w pauzach między miotami dowcipem nowego p. dziedzica.

Na polowaniu tem, w którem brało udział 14 członków naszego Towarzystwa i 2 gości, ubito: 1 rogacza, 2 lisy, 4 zające i 3 jarząbki — strzałów padło 28. *B. W.*

Z pod Rudek listopad.

(Z chartami na lisy).

Mogę się wykazać świadectwem świetnego c. k. Starostwa w Rudkach stwierdzającem, że z pomiędzy podległych mu niewolników, największym wstrętem do pióra odznacza się się niżej podpisany. Fakt więc, że puszczam się na popełnienie korespondencyi do „Łowca" *) dowodzi, że jestem znacznie większym pietyzmem dla tego pisma i spraw w niem poruszanych przejętym, aniżeli dla cennych manuskryptów c. k. władz administracyjnych, które rywalizując co do ilości z myszami polnemi, stanowią obok tych ostatnich drugą klęskę „elementarną" tutejszego powiatu. Bezpośrednim zaś bodźcem do tego bohaterskiego czynu, jest łaskawa odezwa Szanownej Redakcyi „Łowca", wystosowana do wszystkich myśliwych, bo wszak wiadomo, że gdy konia kują, żaba nogę nadstawia.

Zeszłej zimy, bawił w naszej okolicy pan S. M. z Podola. Zapalony charciarz miał z sobą dwa wyborne psy Sokoła i Bohuna, z któremi nieważając na ostre bezśnieżne pola, dzień w dzień na lisy wyjeżdżał. Po kilku tygodniach tego grasowania, wisiało w sieniach domu mieszkalnego 30 skórek lisich. Kto kiedykolwiek polował z chartami, dlatego ten rezultat będzie najlepszym dowodem doskonałości psów, które mimo poździeranych pazurów po ostrej grudzie, za każdym lisem z ochotą szły i zwykle bez obrotu go brały. W wycieczkach tych towarzyszyłem bardzo często panu M. i tak się zapaliłem do tego sposobu polowania, które w naszej okolicy dla wielkiej ilości lisów jest bardzo wdzięczne, że postanowiłem wystarać się o charty, co mi się też z nastaniem wiosny udało.

Z niecierpliwością oczekiwałem tegorocznej jesieni, aby najpierw na zajączkach spróbować zalet mego Dogonia i Strzałki. Gdy się jednak wkrótce pokazało, że dla rodu zajęczego nie są one wcale niebezpieczne, przygotowałem ołów i proch dla tej dostojnej pary, z wydaniem zaś polecenia wykonania egzekucyi postanowiłem zaczekać aż do pierwszej konwersacyi z lisem. Korzystałem też z każdego pogodnego dnia, aby bodaj godzinkę za tym drapieżnikiem poszukać — niestety ciągle bezskutecznie. Przypisując ten pech i brak spotkania memu chłopcu, który zawsze smycz prowadził, pojechałem wreszcie 8 listopada sam, a psy zawołane poszły przy koniu. Udałem się wprost do rzepaku, w który charty zwiedzione zmyślonem poszczuciem wskoczyły i już ciągle w odległości 50 kroków odemnie biegły. Fortel mój okazał się szczęśliwym, bo wkrótce wyskoczył tuż przed psami okazały stary lisiura. Rozpoczęła się krótka gonitwa, a po niej zażarta walka na białą broń. Znalazłem się i ja wnet na polu bitwy, a chcąc ułatwić psom ich trudne ze starym lisem zadanie, zeskoczyłem z konia i począłem okładać trzciną rudowłosego eleganta. Skutek był ten, że psy lisa puściły, a ten korzystając z chwili, dał parę skoków i znikł jak kamfora w otworze tuż obok znajdującej się kryjówki, wygrzebanej w brzegu polowej drożyny. Postawaliśmy wszystko troje skonsternowani — a gdy wreszcie ochłonąwszy, oglądnąłem się za koniem, którego „*in der Hitze des Gefechtes*" puściłem ujrzałem go już na horyzoncie. Ha no machaj teraz serce na piechotę do domu, a to zo 4 klm. — Ładny epilog! Lecz nie! postanowiłem, że inny będzie epilog — a przysięgając krwawą zemstę zuchwalcowi, który tak śmiał z nas zadrwić, układom w drodze do domu plan dalszej kampanii.

Wróciwszy do domu wyprawiłem naprzód parobka z ryskalem, dosiadłem mego uciekiniera, dwóch stajennych posadziłem na inne habety, a dla pomocy chartom wziąłem jeszcze legawą sukę i kundysa. Z tak zmobilizowaną armią, stanąłem po raz wtóry nad otworem owej kryjówki. Zbadawszy jej kierunek kazałem kopać w 2gim sążniu i wnet rozpoczęło się głębokie wiercenie. Skutek był szybszy i lepszy niż na lwowskiej wystawie, bo już po trzecim sztychu trafiliśmy na istną lisiodajną żyłę, z której wypompowaliśmy po kolei cztery duże stare lisy. Pierwsze dwa, między któremi był także mój dobry znajomy z rzepaku, zostały przez psy pokonane — trzeciego postanowiłem dla przyspieszenia sprawy odrazu kijem ubić, a gdyśmy go w tym celu za kitę wyciągnęli, pokazało się, że trzymał się zębami za kark czwartego lisa, który już był nieżywym. Przypuszczam, że

*) Czołem! za to bohaterstwo i prosimy jak najczęściej choćby na złość c. k. Administracyi powiatowej. *Redakcya.*

śmierć nastąpiła tutaj częścią ze strachu, a częścią skutkiem zduszenia przez własnego braciszka.

Na całej tej awanturze najlepiej wyszły charty, bo wyrok śmierci, został na razie odwołany. Dogoń zwłaszcza okazał się wcale odważnym i walecznym, brak mu tylko jeszcze rutyny w sposobie chwytania lisa. Mam jednak nadzieję, że jeśli pan M. dotrzyma obietnicy i przyjedzie ze swoją smyczą z pierwszym dobrym śniegiem, znajdzie w Dogonie niezłego pomocnika dla swego Bohuna. *S.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Ulanowie u p. Stefana Sękowskiego odbyło się dnie 3, 4 i 5go grudnia polowanie na 12 strzelb. Strzałów padło 341, ubito: zajęcy 137, lisów 7, rogaczy 4, kuropatwę 1; razem 134 sztuk. Z sześciu tysięcy morgów lasu spolowano tysiąc sześćset. Zważywszy, że właściciel dopiero przed dwoma laty nabył majątek ten, w którym polowanie zupełnie było wyniszczone i zwierzyny bardzo mało, należy mu się od myśliwych wysokie uznanie za takie rezultaty. Prowadzenie polowania było świetne, odznaczało się cichym a ślepym wypełnianiem poleceń kierującego p. Sztubenfola miejscowego zarządcy, znakomitą wprawą nagonki, która prosto, murem waliła przez mioty, ani razu nie chybiwszy naznaczonego celu. Serdeczną wesołość drużyny myśliwych podniecał znaną swą werwą i humorem niezmordowany gospodarz.

Stojąc na stanowisku ze strzelbą zwykłą i śrutem N. 4 zobaczyłem przed sobą nagle łeb ogromnego odyńca na 15 kroków. Szybkie zmierzenie się, i że tak powiem studencki strzał były dziełem jednej chwili. Dzik zwrócił się na zadzie jak koń, który dęba staje, a przedefilowawszy przed linią osłupiałych strzelców zginął w czeluściach lasów. Jakiś poczciwy był to odyniec, bo łatwo mogłem się zapoznać z jego kłami, gdyby był w zgryźliwym humorze. Jak to dobrze, że dziki nie mają kataru żołądkowego!

Daj Boże na rok przyszły zebrać się znowu miłej drużynie, i znów pohulać po tych borach. Vale. *J. Br.*

— W Wielopolu Skrzyńskiem, majętności pp. Józefów Brandtów, odbyło się w dniach 12. i 13. listopada polowanie przez pierwsze dwa dni w lesie, a trzeciego dnia do południa w małych krzakach i zagajnikach koło folwarku. Myśliwych było 9ciu, zabito: 14 rogaczy, 3 lisy, 95 zajęcy i 2 koty zdziczałe — razem 114 sztuk. Rezultat byłby lepszy, gdyby nie ta okoliczność, że w dwóch najlepszych miotach myśliwi przepuszczali zwierzynę, spodziewając się dzików, do których istotnie strzelano i jedna sztuka mocno farbując uszła do sąsiedniego rewiru, gdzie ją nazajutrz znaleziono. Stan zwierzyny od dwóch lat podniósł się tu znacznie, co jest zasługą zarządu dóbr i leśniczego, który nie tylko wzorowo prowadzi kultury leśne, ale i o zwierzynie pamięta. Prowadzenie polowania było bez zarzutu, co nie jest łatwą rzeczą w terenie górzystym, poprzerzynanym licznymi parowami. *W.*

— W Grembowie u p. Henryka Dolańskiego, odbyło się d. 24. listopada polowanie w 7 strzelb. Zabito 9 rogaczy, 7 lisów i 20 zajęcy.

— W Czudcu, u p. Józefa Wiktora odbyło się w dniach 28. i 29. listopada polowanie w 8 strzelb. Padło 19 rogaczy, 6 lisów i 46 zajęcy. Sarn widzieliśmy bardzo wiele, teren dla nagonki bardzo trudny, mimo tego znakomicie chodziła. *W.*

— W Hadynkowcach, u p. Artura Zaremby Cieleckiego, odbyło się wzorowo prowadzone polowanie w dniach 26. i 27. listopada. Myśliwych było 12: Zabito 4 rogacze 4 dziki, 120 zajęcy i 4 lisy. Pomiędzy zabitemi dzikami było dwa ogromne odyńce; kilka mocno postrzelonych dzików uszło, Brak śniegu nie pozwolił iść za farbą. Przy wieczornym rozkładzie dla urozmaicenia zabitej zwierzyny znalazła się jedna słonka. Widocznie spóźniła się na ostatni kuryerski pociąg, odchodzący do Egiptu. Sarn w Hadynkowcach bardzo dużo, widzieliśmy stada po 20 do 30 sztuk, lecz nie chciały wyjść na linię myśliwych. Był dość silny mróz bez śniegu i zamarznięte liście chrupały pod nogami Skutkiem tego mimo wszelkiej ostrożności przy rozstawianiu myśliwych, zwierzyna uciekała, szczególniej sarny. Przy nieco korzystniejszych warunkach, a szczególniej na śniegu, bylibyśmy wiele więcej zabili.

Aleksander Potocki.

— W Dobrach Ordynacyi Łańcuckiej u hr. Romana Potockiego odbyły się w dniach 5. 6. i 7. listopada br. przy najpiękniejszej pogodzie polowania na bażanty i zające. Pierwszego i drugiego dnia trwało polowanie po dwie i pół godziny, a trzeciego dnia trzy godziny — ubito zaś w 7 strzelb razem 1007 sztuk, a mianowicie: 650 bażantów 361 zajęcy, 2 kuropatwy, 2 rogacze i 2 dzikie kaczki.

Szczerbicki.

Gliniany 15. listopada 1894.

(Sprawozdanie z letniego sezonu łowieckiego.)

Czerwcowe słoty tegoroczne zalały sianożęcie, a na nich gniazda błotnego ptactwa, lecz mimo tego pojawiły się tu potem kszyki i kaczki w dość znacznej ilości. Lipcowe kszyki były to zrazu prawdziwe pędziwiatry. Gdy po raz pierwszy, około 18. lipca na błota wyszedłem, porywały się na niemożliwe odległości. Dałem wreszcie kilka desperackich strzałów, a po każdym podnosiły się z całej powierzchni rozległych moczarów gromady kszyków i całemi stadami odlatywały w dal bezpieczną. Prócz nich kręciły się między chmurami czajek, stadka mniejszych i większych kulików, tu i owdzie odzywało się żałosne gwizdanie kulonów, z odkrytych jeziorek wzlatywały stadka cyranek i krzyżówek, mimo jednak tej obfitości i rozmaitości zwierzyny, skromnie wypadł rezultat pierwszych łowów. — Później trochę uspokoiły się nieco kszyki i myśliwi mieli sposobność ściągnąć z nich należny haracz. Dubelty pojawiły się tu w miernej ilości. — nadciągnęło ich także trochę drugi raz przy końcu września, tak zwane „Michałki“.

Wzmianka o kulonach przypomniała mi znakomity artykuł p. Wł. Spausty z marca b. r. traktującego o locie ptaków, w którym jednak zdaje mi się niezupełnie właściwie użytą jest nazwa „kulon“. Twierdzi szanowny autor, że błędnie nazywają się kulonami „duże kuliki“, gdyż „kulon“ jest to ptak przebywający w pustych, piaszczystych okolicach. Zapewne ma tu szanowny Autor na myśli gatunek drobia może „dropstrepet“ albo „grubopiętek“.*) Czy nazywają tego ptaka także „kulonem“, tego nie wiem, o ile jednak

*) Szanowny korespodent jest w błędzie. Kulik duży, *Numenius arguata*, należący do płatkonogich ptaków błotnych, mieszkaniec Europy i Azyi, jest u nas pospolity i należy go odróżnić od kulona, *Oedicnemus czepitans*, który jest znacznie większy, u nas rzadszy. A już całkiem nie należy mieszać z niemi strepeta *Otis tetrax*, ptaka całkiem odmiennego typu. Przyp. Red.

moje wiadomości sięgają, „urzędowa“ nazwa kulika dużego, t. j. ptaka z gatunku kulików, dość wielkiego na wysokich nogach, z długim zakrzywionym dzióbem, jest „kulon stepowy“ i takiem też mianem podpisany jest w muzeum Imienia Dzieduszyckich.

W sierpniu błota tu obeschły i ptactwo odciągnęło w inne okolice, z końcem września jednak i w październiku pojawiły się znowu kszyki w znaczniejszej ilości. — Przepiórki ucierpiały widocznie bardzo od słoty w czasie lęgu, bo niewiele ich było, a może zostały z wiosną na południowych wybrzeżach Europy zdziesiątkowane. — Stan kuropatw, dzięki gorliwej opiece hr. Potulickiego, jest tu wcale niezły, trudno jednak doprowadzić u nas w tym kierunku do wielkich rezultatów, bo kuropatwa ma tu, zwłaszcza zimową porą, wielu nieprzyjaciół w ludziach i zwierzętach i w samej przyrodzie. W czasie zamieci ściągają się pod wiejskie opłotki, zkąd łatwo je wprowadzić do stodoły, a że ztąd nie wyjdą, o to się już gościnny gospodarz postara. Ulegają także często zniszczeniu przy pokosach, bo gnieżdżą się chętnie w koniczynie, i przy koszeniu gniazda padają ofiarą. Podobny właśnie wypadek miał tu miejsce tego roku.

Słonek na wiosennym ciągu niema tu nigdy, w jesieni jest ich zwykle niewiele, a tego roku było bardzo mało i żadna nie padła. Dość późno już, bo aż koło 10 listopada, miało ich nadciągnąć trochę więcej, lecz gdy mi o nich dano znać, żadnej już nie zastałem.

Wspomnieć jeszcze muszę o rzadkiem u nas wypadku gnieżdżenia się dubeltów. Przy końcu sierpnia spędziłem z otawy stadko dubelcich podlotów, złożone z sześciu sztuk. Porwały się ciężko, *coup double* nie przedstawiało trudności, ubiłem więc dwa, a o kilka kroków dalej starą dubelcicę.

Ogółem padło tu z płactwa w ciągu ubiegłego sezonu 3 kulony, 1 gęś, 2 bojowniki bataliony, 41 kaczek, 51 dubeltów, 120 kszyków, 18 kuropatw, 76 przepiórek, 18 chróścieli, 6 mniejszych kulików, 4 kureczki, 6 kwiczołów, 1 orzeł, 5 jastrzębi, razem sztuk 352.

Zajęcy w lecie było dużo, lecz podobno grasuje trochę między niemi motylica. Jaki stan będzie w zimie, okaże pierwsza ponowa i rezultat łowów.

K. J.

Z Królestwa Polskiego.

— W Otwocku pod Warszawą na polowaniu w d. 22. listopada w 16 strzelb ubito 71 zajęcy.

— W Bolimowie pod Rudą Guzowską, w lasach dzierżawionych od p. Sobańskiego, w d. 25. listopada odbyło się polowanie próbne, w rewirach mniej obfitujących w zwierzynę a mimo to 41 myśliwych ubiło 55 zajęcy, 4 rogacze i 1 lisa.

— W majątku Laski, pod Warszawą, w d. 25. listopada w 9 strzelb upolowano 103 zające. W miejscowości tej, dzierżawionej przez kółko myśliwych, okazał się w r. b. nadzwyczajny przyrost zajęcy.

— W dobrach Oleszno w pow. lipnowskim, u p. Karnkowskeigo w d. 26. listopada odbyło się polowanie, na którem zabito 93 zajęcy i 10 kuropatw. Polowano tylko w polu i przeważnie w kociołkach.

— W Uniszowicach w Lubelskiem, u p. Gołębiowskiego polowano w ostatnich dniach listopada z chartami w piętnaście koni. W ciągu paru godzin uszczuto trzema smyczami trzydzieści zajęcy.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Z numerem niniejszym kończymy b. rocznik „Łowca“. W połowie roku, stosując się do potrzeb Wystawy, przenieśliśmy termin wydawania z 1-go na 10-go każdego miesiąca. Praktyka okazała, że mogliśmy zawsze zamieszczać świeższe korespondencye, podczas gdy dawniej musiały one nieraz po miesiącu w tece redakcyjnej leżeć, najczęściej bowiem łaskawi korespondenci nasi nadsyłali nam listy dopiero koło 1-go lub po 1-ym i udaremniali tem samem szybkie ich zamieszczanie w „Łowcu“. Oparci na tem doświadczeniu postanowiliśmy w r. 1895 termin wydawania „Łowca“ stale zmienić, t. j. wydawać go regularnie dnia 15. każdego miesiąca i spodziewamy się być aktualniejsi.

W numerze styczniowym, oprócz wdzięcznego studyum W. Spausty p. t. „Zakonnik leśny“, rozpoczniemy druk oryginalnego i wielkie zajęcie budzącego dziennika myśliwskiej wycieczki w Afryce jednego z łowców i podróżników polskich.

Prawo o polowaniu — pisze *Jeździec i Myśliwy* — wprowadzone w guberniach cesarstwa rosyjskiego przed dwoma laty, w ciągu bieżącej zimy ulegnie gruntownemu przejrzeniu i dopełnieniu.

Przy sposobności nadmieniamy, że projekt zmian w przepisach o polowaniu w guberniach Królestwa Polskiego, opracowany przez warszawski Oddział Towarzystwa racyonalnego polowania, przedstawiony został już dawno ministeryum dla uzyskania zatwierdzenia w drodze prawodawczej, ale ostateczne załatwienie tej kwestyi mogło być spodziewane nieprędzej, aż właśnie po przejrzeniu obowiązującego prawa o polowaniu w cesarstwie, które według przytoczonej powyżej wiadomości, stanęło na porządku dziennym w sferach rządzących. Obecnie można przeto mieć nadzieję, że tak pożądane zmiany w przestarzałych już nieco przepisach myśliwskich Królestwa, niebawem wejdą w wykonanie z wielką korzyścią dla tamtejszego zwierzostanu.

Wilk i pies. Stanowcze twierdzenia myśliwych, że przez krzyżowanie psa z wilkiem, można otrzymywać bastardy psów, zdolne do dalszego rozpłodu, zniewalają i zoologów do badania pokrewieństwa między kanidami i do wyprowadzania w ogóle nowych hypotez co do pochodzenia psa. Jeden z takich badaczów niemieckich, p. A. Wolfgramm, poddał ścisłemu badaniu zbiór czaszek wilczych, będących własnością uniwersytetu rolniczego w Berlinie i wykazał, że u wilków zrodzonych w niewoli następuje znaczne zmniejszenie czaszki i w ogóle zmiany w całej jej budowie, a mianowicie rozszerza się ona, podnosi ku górze, a traci na długości, tak, że położenie mózgu staje się odmienne, a czaszka niemal kolista, że nadto zęby trzonowe i kły stają się mniejsze i inaczej uformowane, a wszystkie te przekształcenia zbliżają wilka już w pierwszem pokoleniu niewoli znacznie do psa, *Canis familiaris.* Dalsze twierdzenie p. Wolfgramma brzmi, że pies jest w ogóle produktem odwiecznego skrzyżowania europejskiego wilka z małym szakalem, *Canis aureus*, który już w epoce kamiennej przez mieszkańców Europy był obłaskawiany. Szakal ów przypomina się aż nadto wyraźnie w rasach szpiców i pinczów, a nawet jamników. Należy do tego dodać, że zarówno wilk jak szakal uczą się w niewoli szczekać, mardać ogonem na boki i ku górze, słuchać swego pana, poznawać go nawet po kilkoletniem niewidzeniu — jednem słowem nabierają łatwo zwyczajów psa domowego.

Mamy tu więc znowu jeden zamach więcej na prelegowaną tak długo nietykalność i niezmienność rodzaju.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.